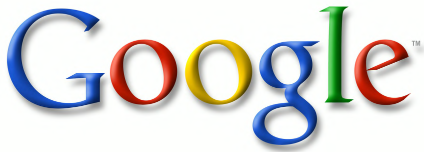
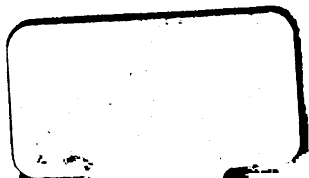



Biblioteka pisarzy polskich
LIPSK, F. A. BROCKHAUS.



BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM XLIII.

POEZJE

KORNELA UJEJSKIEGO.

NOWE WYDANIE Z WYBORU AUTORA.

TOM DRUGI.



LIPSK:

F. A. BROCKHAUS.

1866.

CO MOGŁEM.

SPIS RZECZY.

TŁÓMACZENIA SZOPENA.

WIERSZE RÓŻNE.

TŁOMACZENIA SZOPENA.

TEJ,

KTÓRA POTĘGĄ SWEGO MUZYCZNEGO TALENTU,

POTĘŻNIEJSZEM SŁOWEM SIOSTRZANEGO WSPÓŁCZUCIA

KOIŁA I PODNOSIŁA MEGO DUCHA,

CHCĄC ZOSTAWIĆ ŚLAD MOJEJ NIEWYGASŁEJ WDZIĘCZNOŚCI,

TE TŁÓMACZENIA SKŁADAM.

Z SONATY.

(DZIEŁO 35.)

1.

MARSZ POGRZEBOWY.

Tyle dzwonów! Gdzie te dzwony? Czy w mej głowie huczą?
Kędy idą roje księży z taką pieśnią kruczą?
Tu przedemną o dwa kroki czarny wóz się toczy —
Jak mi ciemno! — ten wóz czarny zciemnił moje oczy.

Gdzieś w powietrzu krzyż jaśnieje, migają pochodnie,
A prowadzą mnie pod ręce — idę tak wygodnie —
Same prawie się podnoszą zatrętwiałe nogi —
Dobrze, dobrze, że mnie wiodą — nie znam żadnej drogi.

Idę, płynę niby śniący, bez myśli, bez woli,
Tylko w głowie, tylko w sercu coś mnie strasznie boli,
Coś zatapia w nich swe szpony — krzywe, ostre szpony —
A tu ciągle biją dzwony, a tu kraczą wrony...

Ha! muzykę jakąś słyszę — pięknie grają, pięknie...
Żar mam w oczach a po twarzy coś zimnego cieknie —
Patrzą na mnie, ale zbliżyć nikt się nie odważa —
Musi coś być w mojej twarzy, co ludzi przeraża.

A wóż ciągną cztery konie okryte żałobą,
A mnie ciągnie jakaś siła, wlecze mnie za sobą...
Wielki Boże! toż ta trumna wysuwa się ku mnie!
Tam zagadka mego bytu — w tej trumnie! w tej trumnie!

Za co Tyś mnie tak ukarał, Ty, co zwiesz się Bogiem!
Za co, zà co? — Och!
Samowładca nad słońcami, nad stworzeniem mnogiem,
Mnie zdeptałeś — Proch?!
Gdzie ten Bóg,
Co mnie zmógł?
Czy go jęki dzwonów głoszą i krakanie wron?
Niech pokaże się przedemną z ironji obliczem,
On straszny jak noc —
Bom ja większy w moim bólu, chociaż jestem niczem,
Niźli Jego moc!
Ha, zły On!
Ha, zły On!
I tem słowem dzwony biją....
Jezus, Maryjo!
Jakże mnie ten razi dzwon —
Ten dzwon! ten dzwon!

Na atłasie piękna, cicha,
Ręce trzyma w krzyż,
Przez sen do mnie się uśmiécha —
Oh! ty już nie śnisz!

Oh! nieczujesz ty już woni
Z wieńca białych róż —
Całowaniem twojej skroni
Nie zbudzę cię już!

Niewiesz nawet, że za tobą
Idę blady trup,
Że prowadzą cię z żałobą,
Że prowadzą w grób!

Na tóż ciebie biedna matka
Wydała na swiat,
I jam kochał do ostatka,
Bym cię w trumnę kładł!

Takież moje ślubne łoże?
I ja w takim dniu
Żyję jeszcze? — Boże! Boże!
Co ja pocznę tu!

*

Była słodka i anielska
I kochała mnie,
Jak piosenka jaka sielska
Płynęły nam dnie.

I jam przy niej był bez grzechu
I anielskość miał,
Bo z jej oczu, z jej uśmiechu
Jam sakrament brał.

Była dla mnie jak natchnienie
Genjuszu i cnót,
Wiodło mnie jej szat jaśnienie
Do niebieskich wrót.

Gdzież zawiodło mnie na końcu,
Po przebyciu prób?

W czarną otchłań szedłem w słońcu!
Przez nadzieję — w grób!

Takież moje ślubne łoże?
I ja w takim dniu
Żyję jeszcze? — Boże! Boże!
Co ja pocznę tu!

Wzięli trumnę na ramiona, ponieśli ją spiesznie,
Mnie zatrzymać chcą przemocą — ha, ha! to pociesznie!
Precz mi z drogi, głupi tłumie, bo będzie nieszczęście —
Młody jestem, wściekły jestem i mam silne pięście!

Ja mam jeden do niej prawo — precz z drogi ciekawi!
Czarne mrowie! tylko równy niech mi opór stawi —
Mego bolu żadna z waszych piersi nie pomieści;
I pierzchnęli — a ja idę, wielki król boleści!

Pośród gwaru podziwienia, śród hałasu dzwonu,
Oto zbliżam się do trumny — do mojego tronu!
Ty grobarzu, na tym kopcu wsparty na łopacie,
By takiego pogrześć króla, ile chcesz mój bracie?

A zakop mnie a głęboko — tak mi źle na świecie!
Ciężej niźli twoja ziemia, powietrze mnie gniecie....
Precz z kropidłem! i święcona woda ją poplami —
Ja tu jeden mam kapłaństwo — pokropię ją łzami!

Z pod habitu zakonnego wysuwa się ręka,
Jakaś jasna, jakaś mocna! duch mój przed nią klęka —
Dotknęła mnie! a ja padam podcięty jak kosą...
I wzięli mnie i ponieśli — gdzie oni mnie niosą?

Ach! za kilka kropel szczęścia ludzie światu płacą
Całem morzem łez!
Głupi świecie, marny świecie — stworzonyś ty na co?
W czem twój byt i kres?
Jego ruch,
To mój duch!
Jam jak serce w nim bijące, on próżny jak dzwon!
Czym ja kogo prosił o to? kto tu bez mej woli
Nakazał mi przyjść?
Chociaż bytem mnie okuto — nie jestem w niewoli!
Ja mam władzę — wyjść!
Ha, zły On!
Ha, zły On!
I tem słowem dzwony biją....
Jezus, Maryjo!
Jakże mnie ten razi dzwon —
Ten dzwon! ten dzwon!

2.

FINALE.

Czarodziejki jasnowłose,
Ciemnowłose, czarnowłose,
Płyńcie do mnie, płyńcie!
Żem was chwytał w me ramiona,
Żem przytulał was do łona —
Zasłyńcie!

Serce moje krwawe, smętne,
Rozognione a niechętne,
Niech idzie na rosę!

Jasnowłose, czarnowłose!
Żeście spadły na mą ranę
I chłodziły serce krwawe,
Raz kochane, zapomniane —
Dam wam sławę!

Jam mistrz wielki i potęga,
Co w harmonję dusze sprzęga —
Wiecznym jest mój głos!
Jam jest twórca mocny, dzielny,
Kto mnie dotknie — nieśmiertelny!
Jak mój żywot, jak mój los!

Pokąd żyję — płonę, świécę,
Wszystkie kocham białolice,
Wszystkie kocham wraz;
Na splamione piersi wieszcze
Gdy natchnienia spadną deszcze —
Już nie mają skaz!

Ta, co dla mnie przeznaczona,
W zgniłem łożu śmierci żona —
O straszny Ty Boże!....
Rozkosznice,
Białolice
Niechaj duszę mą upoją —
Ta, co kocham, nie jest moją!
Moją być nie może!

Dziś, gdy kocham .... kłamię! kłamię!
Cudzołożne każde ramię
Jakby srebrny miecz,
Tak mnie rani, tak mnie boli,
Tak prowadzi do niewoli ....
Precz odemnie, precz!

Ta co duszę mą rozumie,
Odpowiedzieć mi nie umie,
W wiecznym leży śnie;
Te, co dla mnie miłość czują,
Choć kochają, nie pojmują —
Nikt nie kocha — mnie!

Jam płomienny, górny, lotny,
A samotny, tak samotny,
Chociaż ludzi rój
Depce progi mego domu —
O! nie powiem ja nikomu:
Jam twój! jam twój!

Ta, co kocha i co wierzy
W me cnoty i serce,
Ta bezwładna w ziemi leży,
A toczą ją żerce;
Ciężka ziemia ją przygniata —
Lekka dla robactwa!
A jam został pośród świata
Nito pieśń tułactwa !

Precz odemnie, precz odemnie!
Niech was piekieł skryją ciemnie
Jaskrawe wietrznice!
Na tę moją, na tę jedną!
Na tę senną, na tę biedną!
Patrzą me źrenice.

Moich natchnień tyś natchnienie,
Twego ducha jam odzienie,
Tyś słońce, jam promień!

W tobie żyję, w tobie cierpię,
  Z ciebie śpiewam, z ciebie czerpię,
          Jam dym, a tyś płomień!

Daj mi błyski, daj mi burze,
Niechaj w nich się choć wynurzę
  Żalem i tęsknotą;
Niechaj pieśni z ciebie płyną,
Niech jak tęczą mnie obwiną
          Natchnieniem i cnotą!

PRELUDYE.

(DZIEŁO 28.)

WNIEBOWZIĘCIE.

(Preludya 7.)

1.

Leżę na obłoku
Roztopiony w ciszę,
Mgłę mam senną w oku,
Oddechu nie słyszę;
Fijołkowej woni
Opływa mnie morze,
Dłoń złożywszy w dłoni
Lecę, płynę gdzieś ....

2.

Niewiem, gdzie, czem jestem —
Czym anioł na poły?
Bo z cichym szelestem
Migają anioły.
Chyba Bóg określi
Moją słodycz; — Boże!
Ach, nie zbudź mej myśli
I serca nie wskrześ! ...

PO ŚMIERCI.

(Preludya 13.)

CHÓR W NIEBIE.

W sercu miał burzę,
Co niosła lilje i róże;
    W tej burzy sam jak liść.
    Gdzie tobie duchu iść?
Czy w ciche tęczy drzenie?
    Czy w rozszalały komety wir,
W mgły jego i płomienie?
    Czy przy harmonji lir
W rajskie śnienie?

GŁOS Z ZIEMI.

Aniołów, niebo rzuć
A do mnie biednej wróć,
    Jasny mój!
Chwilę jeszcze, chwilę przy mnie stój —
    Potem mnie weź
    I gdzie chcesz nieś!

CHÓR W NIEBIE.

O! jak on w tym głosie tonie!
Źrenice przymknął w pół,
Drzy i płonie.

GŁOS Z ZIEMI.

Wraca, wraca już: czuję woń!

CHÓR W NIEBIE.

Poleciał w dół!

OSTATNI BÓJ.

MODLITWA.

(Preludya 20.)

1.

CHÓR STARCÓW.

Przed nami stary wróg,
Nad nami Ojców Bóg,
Obronną wznosim pięść,
O Boże, Ty nam szczęść!

(Odchodzą.)

CHÓR NIEWIAST.

Najstarsi poszli wprzód,
W bój poszli stare lwy;
Nie w pierwszy to ich chód,
Prowadzą cały ród.
Na wzgórzach stoim my,
I patrzym; Ojcze nasz!
Och, dłużej nas nie karz,
Zwycięztwo ku nam skłoń!

Razem { CHÓR NIEWIAST: — skłoń...
KRZYK MĘŻÓW: Za broń!

2.

CHÓR MĘŻÓW.

Nam bronią ożóg z zgliszcz,
Pierś naga nie zna tarcz —
Ty wichrem przy nas świszcz!
Piorunem przy nas warcz!
(Odchodzą.)

CHÓR NIEWIAST.

Zlecieli pędem burz,
We wrogów wpadli tłum,
Za nimi został szum,
Gdzie oni — chrzęst i kurz.
Och straszne przyszło: Już!
O Boże, Ty nas słysz!
O Boże tęcz i cisz!
Do ócz nam przyłóż dłoń!

Razem { CHÓR NIEWIAST: — dłoń...
KRZYK PACHOLĄT: Za broń!

3.

CHÓR PACHOLĄT.

O Boże! namarszcz brew,
Stań z nami, zbaw nam kraj!
My młodzi damy krew,
Ty mocny siłę daj!
(Odchodzą.)

CHÓR NIEWIAST.

Te dzieci, co bez win
O! łaską swoją znacz!
Modlitwą nam jest — płacz,
Im — pierwszy męski czyn.

Tam ojciec, mąż i syn —
Ten droższy, ten i ten!
O Boże! skończ nasz sen,
Zwycięztwo ku nam skłoń!

Razem { CHÓR NIEWIAST: — skłoń...
KRZYK NA POLU BITWY: W pogoń!

MAZURKI.

TÉRKOTKA.

(Dzieło 30. Mazurek 2.)

Bieda-ż moja z tą ciotką!
Przezwała mnié terkotką,
Jeszcze mi zawiąże świat,
A mam już pietnaście lat!

Taka plotka z poddasza
Kawalerów wystrasza,
A kawaler śliska rzècz,
Zaglądnie — i pójdzie precz!

Otóż to pora i niezła pobudka,
Wstanę od krosienek, zbiegnę do ogródka,
Niech kukułka powie, czy przy tym narowie
  Prędko pójdę za mąż — tak, tak!

Ile więc razy kukułeczka kuknie,
To za wiosen tyle wezmę ślubną suknię;
Lecz nim zacznie kukać, trzeba ją wyszukać....
  O Jezu najsłodszy! — jest ptak!

Gadajże mi — kuku!
Króciusieńko, — kuku!
Już mam dosyć — kuku!
Kukuleńko! — kuku!
To ptaszysko — kuku!
W uszach wierci, — kuku!
Krzycz-że sobie — kuku!
Aż do śmierci! — kuku!

Otoż im na złość pójdę za mąż prędko,
Złapię sobie chłopca siatką albo wędką;
Na ptaka konfuzję wezmę wielką fuzję
I wymierzę w ptaka — tak, tak!

Pani zaś ciotka na wstyd i na karę
Na mojem weselu pójdzie w pierwszą parę —
Toż będę chichotać, toż będę terkotać,
Żem już swoją panią — na znak!

NA WIOSNĘ.

(Dzieło 33. Mazurek 3.)

Och wiosno! w ślicznym świecie,
Świeć ty dla mnie, długo świeć!
Skowronku! boży dzwonku,
Z mojem sercem w niebo leć!
Promienie, woń i kwiecie!
Ja w nich dźwięczę nito zdrój —
W pokorze ręce złożę:
Boże dobry! ... Mój Ty, mój!

Ja pieszczotka taka wiotka
Biegnę w słońcu przez wrzos —
Zgięci bolem i rozpaczą
Gdzieś po kątach ludzie płaczą!

We mgle rannej, lotny, szklanny,
Dzwoni szczęściem mój głos —
Po ciemnicach smutną nutę
Wybrzękują ręce skute!

Och wiosno! w ślicznym świecie,
Świeć ty wszystkim, jasno świeć!
Skowronku! boży dzwonku,
Z moją prośbą w niebo leć!
Wy nieba! czy wy wiecie,
Że tu krwawy ciecze znój?
Ach spieszaj i pocieszaj
Boże dobry! — Mój Ty, mój!

ZAKOCHANA.

(Dzieło 7. Mazurek 2.)

Jego dotąd niéma
  A duszeczka roi,
Ciągle przed oczyma
  Jak zaklęty stoi.
Na dobrą intencję
Dwa dni poszczę święcie —
  A nuż nie przyjedzie ...?
  Przyjedzie! przyjedzie!

Przyrzekał że w piątek,
  A dziś już sobota —
Zawód na początek?
  Piękna mi robota!
Nie myje się kotek,
I bez sroczki płotek —
  Pewnie nie przyjedzie ...
  Przyjedzie! przyjedzie!

Jakie on do uszka
  Szeptał mi pieszczoty!
Ach! piękny, ach! duszka,
  Ach! srebrny, ach! złoty —

Tańczył tylko ze mną
I raz ląkł przedemną....
  Nuż bałamut skręci...?
  Nie skręci! nie skręci!

A potem tak grzecznie
  Podchlebiał matusi;
Ach! kocham, ach! wiecznie,
  Ach! moim być musi —
Pokłoni się matce
I ma ptaszka w klatce —
  A nuż panicz skrewi...?
  Nie skrewi! nie skrewi!

Nudno czekać — a więc za to,
  Gdy przyjedzie, to ukarzę;
Niech poczeka! — przed herbatą
  Pewnie mu się nie pokażę.

Lecz on jakiś taki żywy,
  W jego sercu pełno burz!
Bardzo będzie nieszczęśliwy —
  No, to zresztą wyjdę już.
Ale za to będę nosić
  Ciągle przy nim śliczną różę,
A gdy o nią będzie prosić,
  Niedam — tylko się zachmurzę.

Lecz on dziwne ma kochanie,
  Że szaleje, mówił sam,
Nuż co złego mu się stanie —
  No, to zresztą różę dam.

Ale za to pod krosienkę
  Niezapomnę rączki schować —
I to srogo — a więc w rękę
  Dam się tylko pocałować.

Jego dotąd niéma,
  A duszeczka roi,
Ciągle przed oczyma
  Jak zaklęty stoi.
Ach! jak kocham mamę,
Otwierają bramę!
  Kasztanek na przedzie!...
  E! to proboszcz jedzie.

PANNA MŁODA.

(Dzieło 7. Mazurek 4.)

Całe niebo we mnie!
  A z ócz płynie łza —
Ach! błoższej odemnie
  Niéma ziemia ta.
Zbytkiem szczęścia skacze
  Serce — z tego mrą...
Ach! dobrze, że płaczę —
  Zbytek spłynie łzą.

A któż-to tam
  Puka do mych drzwi?
Niewolno wejść!
  Suknię dają mi.
Poczekaj waść,
  Jam czekała tak;
No, widzisz go!
  Suknię biorę wspak.

Już ja jegom prawie,
  Już nadszedł dzień ten!
Ach! czy to na jawie,
  Czy to tylko sen!

Któż te słowa zważy:
Jam jego — on mój!...
Ach! jak mi do twarzy
Leży ślubny strój!

A któż-to tam
Puka do mych drzwi?
Niewolno wejść!
Wieniec kładą mi.
Ach, jakiż on
Niecierpliwy wciąż —
Źle ze mną, źle,
Srogi będzie mąż.

Łza za łzą mi cieknie,
A bierze mnie śmiech —
Ach! śmiać się nie pięknie
W dzień ślubu — to grzech.
Schronię się od złego
Do Maryi nóg —
Ach! wiem ze wszystkiego,
Że mnie kocha Bóg!

Ot w kaplicy już
Organ zaczął grać;
O duszeczko ma!
Radź-że sobie, radź.
I kapela także
Pobrzękuje razem —
Ja sobie tymczasem
Klęknę przed obrazem.

*

Marjo! Pani nieba!
Daj nam co potrzeba!
. . . .

*

Wróciłam z podróży
Promieni i róż...
Ach! nie pukaj dłużej,
Idę, idę już!
Nieznajomą drogą
Jasny puszczam wzrok —
Ach! jak lekko, błogo,
Pierwszy stawiam krok!

KTO LEPIEJ?

(Dzieło 7. Mazurek 5.)

Grają skrzypki, mruga dziewa,
Dwóch tańczy mazura;
Niechże każdy z nich zaśpiewa —
Czyja będzie góra?

PIERWSZY.

Tańczę od wieczora, tańczę od wieczora,
Darmo gwiazdy gasną, darmo kogut pieje,
Nie rychło mi kończyć gdy dziewucha skora;
Prawda Małgorzatko? — dziewczyna się śmieje.

DRUGI.

A ja tańczyć będę, a ja tańczyć będę,
Choć słoneczko zejdzie i minie południe;
Wieczorem na rosie gdy przy Miłej siędę,
Człek sobie wypocznie, chociaż nie wychłódnie.

PIERWSZY.

A ja jeszcze dłużej, a ja jeszcze dłużej,
Bo ja tańczyć będę do samej niedzieli;
U Boga i dziewcząt człek co chce wysłuży —
A grajki niech biorą wszystko — prócz pościeli.

DRUGI.

Ominę celebrę, ominę celebrę,
A tańczyć wciąż będę z fantazją zaciekłą,
A potem z Basieńką pójdziemy na żebrę,
A jeśli Bóg każe — to z nią pójdę w piekło!

PIERWSZY.

Ja mszy nie opuszczę, ja mszy nie opuszczę,
Lecz dokąd ze świata śmierć mnie nie wymiecie,
Dziewczyny serdecznej z mazura nie puszczę —
A nie kończ się rychło — hej świecie! mój świecie!

DRUGI.

Źle ze mną jak widzę, źle ze mną jak widzę,
Toż chyba mi przyjdzie tańczyć w czarnej smole;
Lecz powiem już wszystko, chociaż się zohydzę:
Niż śpiewać godzinki — ja mazura wolę!

PIERWSZY.

Oj bredzisz mój zuchu, oj bredzisz mój zuchu,
Ja łacniej mazura wyproszę dla siebie;
Ty tańczyć nie będziesz spięty na łańcuchu,
A ja pójdę w taniec po szerokiem niebie!

DRUGI.

Napędził mi strachu, napędził mi strachu,
Boć prawda że w piekle czarci w pęta kują;
Ale gdy ja krzyknę: Ej ratuj mnie Stachu!
To ty się pomodlisz — i wnet mi sfolgują.

PIERWSZY.

Toć trudno braterstwa, toć trudno braterstwa
Zapomnąć i w niebie — lecz głupstw już niegadaj!
Ja tańczyć tu będę — a ty za bluźnierstwa
Idź rankiem do księdza i tam się spowiadaj.

(Senza fine.)

NOC STRASZNA.

(Dzieło 6. Mazurek 2.)

Tam na dworze zawierucha,
w karczmie gra muzyka,
Ale jakaś dziwnie głucha,
do serca nie wnika.
Wiatr w chwiejące dzwoni szyby
i deszczem w nie tłucze —
Smutno, smutno! — ten deszcz niby
ziemię łzami płucze.
A tu w karczmie chłopak żwawy
rej w mazurku wiedzie,
Nito hetman od buławy
puszy się na przedzie;
Każda z dziewcząt kocha prawie,
każda doń się śmieje,
Tylko jedna, tam na ławie,
chmurna — i łzy leje.

DZIEWCZYNA.

A jam jego tak kochała,
Jak już nikt na świecie!
A on jednak mnie porzucił —
Niech go Bóg przygniecie!

Choć sierota, długom była
Niewinna jak jagnie —
A on teraz z inną tańczy!
A on innej pragnie!

ŚPIEW W TAŃCU.

Chłopaczek ja rzeski,
Podkówkami krzeszę,
Kaftan mam niebieski,
Kogo chcę ucieszę.
Bądź-że mi jak siarka
Dziewczyno kochana....
Ej żydzie! zła miarka!
Oj dana, oj dana....

DZIEWCZYNA.

Przyśpiewuje, tańczy sobie,
Ja siedzę i płaczę;
Ty mnie nie znasz! — co ja zrobię,
Podumam — zobaczę!...

ŚPIEW W TAŃCU.

Co człek nie wyżebrze
To pewnie wykusi;
Srebro leży w cebrze
U mojej matusi.
Igraj, to doigrasz
Dziewczyno kochana....
Ej skrzypku! źle mi grasz!
Oj dana, oj dana....

DZIEWCZYNA.

Coraz bardziej serce pęka,
Snać już wola boża;
A po stole moja ręka
Sunie się — do noża!

Oj, patrzy stara matka na swego pieszczocha;
Ach, tylko jedną matka tak patrzy i kocha!
Ze łzami uśmiechnięta, jak w niebie szczęśliwa,
Synowi klaska w ręce, siwą głową kiwa.
A tam z ławki dziewczyna rusza się — znów siada,
I powstała! — i idzie — jak trup senna, blada —
I patrzy prosto w niego — tańczących wymija —
I przyszła — i krzyknęła — i w serce mu wbija
Długi nóż!

„Matko święta! O ratuj! Tyś ze mną jednaka!
O ratuj moje dziecko! mego jedynaka!"
I leci — i porwała go jak sokoł rączy,
I dłoń kładzie na serce, zkąd jej krew się sączy,
I upadła ze synem; ... rękami odpycha
Tych, co chylą się do niej — leży martwa, cicha;
On wyciągnął ramiona raz jeszcze — do łona
Przyciska biedną matkę .... uśmiecha się .... kona...
Skonał już!...

Poszła znowu jedna dusza
przed Boga, ze strachem;
A wiatr trzęsie i porusza
całym karczmy dachem,
I w chwiejące dzwoni szyby
i deszczem w nie tłucze —

Straszno, straszno! — ten deszcz niby
ziemię ze krwi płucze.
Do kątów się powpychali
ludziska przelękli,
Tylko krewni żalem śmiali
nad trupem uklękli —

Próżno nad nim łzy wylewać!....
Obłąkana, dzika,
Tamta krzyczy: Będę śpiewać!
Hej! a gdzie muzyka?!

DZIEWCZYNA.

Niechże kat przychodzi zaraz,
Niech mi ręce wiąże,
Lecz niech dwie nie kocha na raz
Czy to chłop, czy książe!

Przeszedł-że mi żywot marny!
Krwawam gołębica!
Jemu łzy i grób cmętarny —
Dla mnie — szubienica!!

r. 1857 — 1860.

WIERSZE RÓŻNE.

— 1840 —

TYŚ DZIECKO!

Tyś dziecko! — tak szydzą i młodzi i starzy;
O mędrcy! co wieku szukacie na twarzy,
Spojrzyjcie w to oko, co żarem mi płonie,
W to serce, co młotem wybija w mem łonie,
I okiem chirurga zajrzyjcie do czaszki
Zkąd dawno uciekły dziecięce igraszki,
A gdzie już nie jedna myśl szczytna a smętna
Z łoskotem i blaskiem piorunu tam wpadła
I wichrząc wyryła niezatarte piętna —
Bo dziecku brew zwisła i twarz mu pobladła.

Gdy z braćmi starszemi chce biegnąć w zawody
I dzielić ukryte ich prace i trudy,
To oni wołają: Tyś dziecko! za młody!
Nikt złota nie zyska z niedojrzałej rudy.

O brzozy wysmukłe! nie gardźcie dąbczakiem,
Co ledwie gałązką podniósł się od ziemi,
W nim zaród potęgi rozpostarł się znakiem,
I on was przerośnie konary wielkiemi.

Śród burzy gdy sarkać będziecie na losy
Jak słabe niewiasty rozpuściwszy włosy,
On wtedy wytęży żelazne swe ramię,
Okuje się wolą i siłą jak zbroją,
Że burze mu w dzikiej walce nie dostoją,
A grom go nie schyli — chyba go połamie!

— 1841 —

MONOLOG.

(Ogród przypierający do zamku królewskiego. Noc.)

Ktoś śpiewał — czy się zdało? — jeszcze echo śpiewa;
Czy to może te stare, te stuletnie drzewa
Osłonione północy tajemniczą ciszą
Podają sobie wspólnie co od ludzi słyszą?
To, co nieraz przez zęby wyciśnie przechodzień,
I co z miasta nadpływa z nową siłą codzień:
Głos cichego przekleństwa a głośnej boleści —
W dzień drzewo podsłuchuje, w noc liściem szeleści?
Może! — bo któż znurtował przyrodzenia ciemnie!

O, jak głowa mi tętni, jak krew kipi we mnie!
Bal jeszcze trwa u króla! jeszcze zamek gore
Pochodniami, lampami... Ho! bal w samą porę!
Każ muzyce grać huczniej, otocz się trąbami,
Bo twe ofiary w głos ci krzyczą nad uszami,
I wzdrygniesz się wspomnieniem i dłoń ci tak zadrzy,
Że wina nie nalejesz do kolejnej czaszy,
Zgryzota jak gadzina wlezie do zanadrzy,
W dzień łechtać ciebie będzie, w noc z łóżka wystraszy,
Bo ona nie oblecze się w nizką pokorę
Przed twoim majestatem ... Ho! bal w samą porę!

Śpij ludu snem spokojnym! my za cię czuwamy,
My kapłani twej zemsty, my twoi wybrańce —
Patrz! — podziemie tam straszne, na stropie kagańce,
Dwa miecze skrzyżowane u wchodowej bramy;
Tam stół czarny pośrodku, otoczony w kole
Sprzysiężonemi — dziko patrzają i chmurnie —
Maskami skryli twarze — milczą — a na stole
Urna kirem przykryta — kule są w tej urnie!
Znak dano — i wnet sto rąk sięgnęło do urny,
Sto rąk jako sto dziobów zgłodzonych po ziarna;
Sięgnąłem — odskoczyłem — blask uderzył górny,
Dłoń rozwarłem —: Jam wybran! Kula moja czarna!
Idźcie spać bracia moi! — już ja za was czuwam!

Wybiegłem jak szalony i do zamku gonię,
I z nożem za rękawem w tłum ludu się wsuwam;
Pyszny tu widok! zamek jako lampa płonie
A światło na tłum pada...

Lud strasznego czoła!
Gwarzy tylko i mruczy — biada, gdy zawoła!
I tyle dosłyszałem w tym tłumionym krzyku:
«Te lampy — one pełne są naszego szpiku,
A puhary, toczone są tam z naszych kości,
Tam za naszą niedolę kupione te jadła,
Któremi stół okryty króla jegomości,
Bo nam dzisiaj zabrano własności ostatek,
Naszym ustom ostatni kęs przemoc odkradła,
To nas dzisiaj ciekawość wypędziła z chatek,
Na co go zamieniono.»

Potem zębów zgrzyty
Słyszałem, i westchnienie — głęboko westchnęli;
A z zamku spłynął huczny głos trąby i żeli,

I wrzask stujęzyczny: zdrowie księcia faworyty!
Służalce wyszli z zamku i wpadli do tłumu
I rozpędzali kijmi....
W głowie morze szumu!
A w piersi czuję ogień i zamęt i trwogę —
Nie mogę ustać — oprę się o lipę;
Gdybym teraz tym nożem utorował drogę,
Aż do niego — i ucztę zamienił na stypę!
Darmo — dłoń za drząca — ofiarę pominę,
Darmo — wzrok za łzawy — ofiarę prześlepię —
Zaczekam — ale pójdę!!

— 1843 —

PIEŚŃ O ZIARNIE.

Niebo tak gładkie — bez chmury, bez plamy,
Jak ty o ludu! gdy cię blask swobody
Jako zwierciadło weźmie w złote ramy;
Lecz gdy zagaśnie pochodnia przyrody,
A noc cię skryje żałoby całunem,
Natenczas gwiazdy twej wiary i cnoty,
Jak twego łona ukryte klejnoty,
W obłędzie świecą nam zbawiennem łunem.

I lżej nam jakoś — nie tak boli serce,
Wiedząc że płomień drzy w każdej iskierce;
Wiedząc że łącząc z sobą niebios końce
Wszystkieby gwiazdy w środek się zsypały,
W jednoby ciało swoje światła zlały
I stokroć większe utworzyły słońce.

Niebo tak gładkie — jutrzenka się płoni,
Całe powietrze jak skowronek dzwoni;
Wybiegnę w pole — świat taki swobodny,
I dusza moja jak w fali kwiat wodny
Z taką rozkoszą w niebie się przegląda,
Że w niem utonąć, rozpłynąć się żąda.

Bogdaj-to w siole, na własnym zagonie,
Ukochać lud nasz chęciami młodości,
Odkrywać perły skryte w jego łonie,
Z znoju mu ścierać podeptane skronie
A karmić ziarnem wiary i miłości!

Wczoraj na łanie kiedy zboże siałem,
Tę pieśń wieśniakom przy siejbie śpiewałem:

A razem, a z wiarą rzucajmy w głąb ziarno,
A ziarno gdy czyste to pójdzie nie marno,
Oj! pójdzie nie marno, choć silny wiatr wionie,
Nie na tym, to zejdzie na innym zagonie,
Choć trochę naddzióbią go wrony a kruki,
Plon zbiorą choć nie my, to nasze prawnuki.

Śród siejby od gromu gdy siewacz upadnie,
Niech sławiąc śmierć swoją do trumny się kładnie;
«Do trumny się kładę, a ziarno nie zginie!»
O! miło tak dumać w przedśmiertnej godzinie.
A drugi na miejsce niech jego wystąpi,
Co także siać umie, a trudu nie skąpi.

Północno a mroźno jesienny wiatr wieje,
Lecz ziemia jak matka swe ziarno ogrzeje,
Oj! grzeje jak matka, w pieluchy otula,
A po niej niech wicher tumani i hula;
Pod piersią to ziarno wkorzeni się, wrośnie,
I trawką, murawką wystrzeli o wiośnie.

A trawka ta będzie pod liściem łopuchu
Żyć skryta a w swojskim wyrabiać się duchu,
Wyrabiać się w duchu — a pełzać przy ziemi,
Że burza gromami nie znajdzie jej swemi,

I gniewna gdy gradem żółć swoją wyrzuci,
To trawki nie dotknie a łopuch wywróci.

A trawka swobodna rozbuja się w kłosy,
Kłos słońcem pozłocą zbłagane niebiosy,
Zbłagane niebiosy zapomną o karze,
I przyjdą w świątecznych sukmanach żniwiarze,
I piersi wolnemi pieśń wielką zanucą
I z wozy pełnemi do zagród swych wrócą.

PODRÓŻ Z MEGO OKNA.

Północ — sen uciekł — otworzyłem okno;
Gwiazdy jak oczy kiedy we łzach mokną
Niepewnem drżą światłem, a księżyc ponury
Zaciemnił się, zmarszczył i złożył do chmury.

O, nocy spokojna! jam cię umiłował,
Tyś moją kochanką, moją powiernicą,
Dla ciebiem dnia troski w głębi serca chował,
I szedłem tu tobie z spragnioną źrenicą,
I byłem szczęśliwy, gdym się wyspowiadał,
Szczęśliwy — jak gdybym z zmarłem szczęściem gadał.

O, nocy spokojna! szkoda twojej krasy,
Twej woni i blasku i tajemnych śpiewów
Dla ludzi osnutych w łachmany, w atłasy,
Leżących snem twardym śród miejskich wyziewów;
A który z nich czuwa, to w trudzie lub w brudzie.
Héj myśli! leć chyżo — co robią ci ludzie?

Héj myśli! leć chyżo na zwiady, w podsłuchy!
Leć skrzydłem tak cichem, jak lecą snów duchy.

Naprzeciw — zczerniałe sklepienia kościoła,
Kościoła bez krzyża, bez wchodu, bez dzwonu;
Głos jakiś przeleciał, — to śpiewy zakonu —
Nie śpiew to! — to żołdak nocne hasło woła.
A wewnątrz, choć jakby po przejściu Tatarów
Pustkowie na miejscu ołtarzów zostało,
Nie jeden ofiarnik krew swoją i ciało
Poświęca na wykup swych braci od carów.

W przyległym klasztorze cela koło celi,
A w celach dzban mętów, spleśniały kęs chleba,
I wiązka zgnilizny natomiast pościeli —
U okien zasłona, co kradnie blask nieba.
Tam cisza i ciemnia; niekiedy dłoń skuta
Zabrzęknie, i oczy zabłysną do świécy
Podobne; po nocach tam słychać świst knuta —
Na Boga! któż oni? — jacy pokutnicy?
I jakiż to patron jak szatan nieczuły
Mógł zakon utworzyć tak ostrej reguły!

W podziemiu stół długi, dwóch siedzi za stołem,
Z tych jeden coś pisze a drugi coś pyta,
Przed niemi ktoś blady dumnem toczy czołem,
I milczy i zębem za język swój chwyta.
A potem bladego na odstęp prowadzą,
Dwaj czarni za stołem coś szepcą i radzą,
I wyrok wydali...

Héj myśli! leć daléj na zwiady, w podsłuchy!
Leć skrzydłem tak cichem jak lecą snów duchy.

Godowa sala,
Taniec jak fala

Płynie, wiruje,
Toczy, kołuje;
Gwar i połyski,
Śmiech i uściski.
Dziewczęta z wieńcem
Pływają w parze,
Ognia rumieńcem
Błyszczą ich twarze,
A młódź z kielichem
Coś głosem cichym
Szepce do ucha
I okiem tonie
W fałdy sukienki;
Dziewczyna płonie,
Stoi i słucha,
I odpowiada,
Ściśnieniem ręki.

„Hej, szczęścia tyle
Na dnie kielicha!
Niech czarne chwile
Giną do licha!“
Muzyka głuszy
Wyrzuty duszy,
Jadem w nich pełza
Wino co kiełza
Dawne poloty
Wiary i cnoty.
I daléj, daléj,
W szumiącej fali
Płyną, wirują,
Toczą, kołują —
A jaka czczość w słowie,
To w duszy próżń taka!

Héj myśli! leć daléj na zwiady, w podsłuchy!
Leć skrzydłem tak cichem jak lecą snów duchy.

Na czarnej ścianie wilgotnego lochu
Wisi kaganiec śród pleśni i prochu,
A przy nim świécą małe oczy kocie,
Co jak ogniki kołują przy złocie.

Starzec to biały — nie widzi, nie czuje,
Jak ćma osklepił się workiem — rachuje!
Liczba mu w uściech i w sercu i w głowie,
Bóg, dusza, wieczność: jednostką liczebną —
Bo jemu złoto jest słońcem w połowie,
Dźwięk złota jemu melodją gędziebną.

I starca drugiego spostrzegam za murem,
Ten zwiesił brew siwą i okiem ponurem
Potacza po sobie, po nagich swych dzieciach,
Co jako szczenięta walają się w śmieciach,
I z głodu skowyczą...
A krew pędem rwistym
Nabiega mu w serce, — bo jedna mu ręka
Została by błagać to ludzi, to nieba,
A druga — gdzieś zgniła na polu ojczystém.
Wtem dziecko przypełzło mu do nóg i jęka:
«Ach, ojcze mój, ojcze! jam głodny! — och, chleba!!»
Od głosu takiego kamień i mur pęka.

A starzec w lochu nie widzi, nie czuje,
Jak ćma osklepił się workiem — rachuje!
A potem powstał, zadmuchnął kaganiec,
I szeptem zmówił pobożny różaniec,
I tak swobodnie jak majtek po burzach,
Usnął na złocie jak gdyby na różach.

O, nocy spokojna! jako w matki łono
W tobie nasze nadzieje, smutki nasze toną,
Ty zawsze tajemna, milcząca, łagodna,
Na świat ten poglądasz jako matka rodna,
I nieraz łza twoja do nas rosą leci,
Gdy patrzysz na bole lub zbrodnie swych dzieci!

— 1844 —

POD ZIEMIĘ!

Pod ziemię! pod ziemię! daleko od ludzi,
O, byle cichego gdzie schronu!
Ich śmiech mnie tak razi, ich głos mnie tak trudzi,
Jak pobrzęk grobnego podzwonu.

Próg domu nabiłbym ostremi kolcami,
I lwa bym umieścił przed progiem,
Bym raz już sam został z mojemi myślami,
Z mojemi myślami i z Bogiem.

By nikt mi gadkami codziennych wydarzeń
Nikt myślą zbrukaną, jałową,
Nie psował świecących obrazów mych marzeń,
Gdy dumam z schyloną w dłoń głową.

I chciałbym mieć grodziec z twardego granitu
By nie miał ni okien, ni wchodu;
Miast dachu, niech widzę sklepienia błękitu
I wierzchy drzew kwietnych ogrodu.

Powojem niech do mnie wspinają się róże,
   Orłowie po niebie niech lecą,
Niech czasem pioruny płomienią się w chmurze,
   W noc cichą niech gwiazdy mi świecą.

I byłbym szczęśliwy daleki od wrzasków
   Od śmiechów cynicznych motłochu,
Daleki od podłych zawiści niesnasków,
   Kto głębiéj zanurzył skroń w prochu.

I byłbym szczęśliwy, lecz niech was nie widzę,
   Odgrodźmy się morzem dalekiem —
Gdy wglądnę w pierś waszą, gniewam się i wstydzę,
   Że byłem zrodzony człowiekiem!

Nieznany gdy błądzę w waszym mrowim tłumie
   Nie wita mnie żaden duch bratni —
A mnie się wydaje w méj wzgardzie a dumie,
   Żem z bożych śpiewaków — ostatni.

Otoczcież mnie takim pokojem i ciszą,
   Bym słyszał jak duchy pokrewne
Wieszczemi się skrzydły nad ziemią kołyszą
   I w żale rozwodzą się śpiewne.

A gdy nikt nie wyjdzie naprzeciw mych dążeń
   Mnie ciszy nie szukać daleko —
Pod ręką jest ziemia głęboka na sążeń
   I drewna kawałek na wieko!

O PÓŁNOCY.

Północna ciszo! ileż w tobie głosu
Kiedy cię biedne moje serce słucha —
Co zaumarłe pośród dnia chaosu,
Dopiero nocą w życie się rozrucha,
I wplata w swoją półsenną rozmowę
Nowe swe dzieje — boleści nie nowe.

Lub gdy mu troska dzisiejsza dokuczy,
Co się tak wbija jak pazur jastrzębi,
I nim się niemi pogardzać nauczy
Po kłębek wspomnień sięga do swéj głębi,
Roztacza taśmy niby ujaśnione,
Choć także bolem i łzami kupione.

Północna ciszo! roztocz skrzydła swoje
I weź mię na nie jak kwilące dziécię,
W sen mię skołysaj — bo marzyć się boję —
Boję się myślą wybiegać w to życie,
Co jeźli trafnie wywróża początek
Nic mieć nie będzie prócz łez i pamiątek.

MŁODOŚCI MOJA!

Młodości moja, ty mi bądź aniołem!
Prowadź do celu i drogą cierniową,
Bylem szedł zawsze z podniesioną głową,
Bylem nie żółwiem był, ale sokołem.
Młodości moja! i nad mojem czołem
Możesz się wznosić z męczennika wieńcem,
Bylem narodu został ulubieńcem....
Młodości moja! ty mi bądź aniołem!

Młodości moja, bądź mi zbrojną tarczą!
Osłoń me piersi przed niemęską trwogą,
Niechaj jak magnes siłami się wzmogą,
Kiedy je cierpień ciężary obarczą.
Chociaż pioruny nademną zawarczą,
Niechaj jak prorok przed bożym narodem
Z sztandarem wiary postępuję przodem....
Młodości moja! bądź mi zbrojną tarczą!

Młodości moja, ty mi bądź łańcuchem!
Wiąż mnie z tym biednym, podeptanym ludem,
Niechaj się pozna, niech rozkwitnie cudem,
Kiedy go otchnę silnym moim duchem.

Orlą źrenicą, zaostrzonym słuchem
  Niechaj się wgłębię w jego pierś zbolałą,
  Z któréj się tyle łez i krwi wylało...
Młodości moja! ty mi bądź łańcuchem!

Młodości moja, bądź mi zdrowem ziarnem!
  Każda myśl moja niech się zazieleni
  W sercach mych braci, niech się tam rozpleni;
Co ma być białem, niech nie będzie czarnem.
Młodości moja, nie bądź mi snem marnym —
  Wykuj marzenia twe w żelazne czyny,
  By z niéj się późne żyć uczyły syny...
Młodości moja! bądź mi zdrowem ziarnem!

DO MOJEJ SIOSTRY KAROLINY W.

Mój cichy aniele! domowy zejdź próg,
Nie czeka cię orszak klaskaczy i sług,
  Li śpiewak nieznany obsypie cię kwiatem
  I piosnką pasterzy oznajmi przed światem.

Przed naszą swawolą odwrócił się Bóg;
Mój cichy aniele! domowy zejdź próg,
  I pośród nas grzesznych stań czysta i dumna
  Jak wieków minionych odkryta kolumna.

A ludzie przed tobą zmaleją jak pył,
I spojrzeć w twe oko nie będą mieć sił
  I serca pokruszą i padną ci twarzą
  I może choć we snach o cnocie zamarzą.

O! skromny mój kwiatku, nad połysk i dzień
Potulny przenosisz zacisze i cień,
  Lecz gdy cię osłoni noc skrzydłem swem cichem,
  Ku gwiazdom, ku niebu woniejesz kielichem.

O! gdybym mógł kiedy z podniebnych mych jazd
Przechować dla ciebie niebieskich siedm gwiazd —
Ich wieńcem ubrałbym skroń twoją tak białą,
Ich blaskiem, promieniem spowiłbym cię całą.

I sarka i pyszy się grzeszny już lud,
I gdyby Pan w gniewie chciał zniszczyć nasz ród,
Potopem żelazne chciał ugiąć nam karki —
Dla ciebie by jednej otworzył drzwi arki.

Od czoła twojego rozjaśnia się mrok,
Ja chory na duszy gdy spotkam twój wzrok,
Choć gorycz okrzywia mi serce i wargi,
To szepcę modlitwę miast klątwy i skargi.

Przed nami i dla nas odmiennych dwie dróg:
Twą ścieżkę do nieba wygładził ci Bóg,
Ty w kółku rodzinnem w zakątku, śród ciszy —
On jeden myśl twoją i duszę usłyszy;

A śpiewak dla ludu, szalony brat twój,
Popędzi po świecie na burze, na bój,
Poszarpią go żądze, pokrwawią go ciernie —
O siostro! w pacierzu wspominaj go wiernie.

Jeźli mnie, młodego, grób zimny i głaz
Oderwie od czynu, od pieśni, od was,
To może Pan sądu umieści mnie w niebie,
Bom ciebie czcił tutaj i siostrą miał ciebie.

———— ————

LAZARA.

„Sułtanko moja! gwiazdo haremu!
Peri! podobna kwiatu złotemu,
Co w siódmym raju zakwita —
Jakażto chmura przeszła nad tobą,
Że blask ócz twoich zćmiła żałobą?
Korny niewolnik twój pyta.

Gniew twój bolesny jak gniew Alaha,
Jak sznur jedwabny z rąk Padiszaha
Gdy niemy Tatar przyniesie;
I dusza moja pod twoim gniewem,
Jak za Samumu struna powiewem
Rozstraja, zsycha i rwie się.

Dźwięk twego głosu: śpiew Izrafila,
Twój uśmiech welum raju odchyla,
Twe serce okryte lodem;
Będęż z ust twoich i z twego czoła
Jak z Trebizondy ogrodu pszczoła
Truciznę wysysać z miodem?

Nie jeden okręt w pięknéj Basorze,
Dla ciebie fale błękitne porze
Szukając pereł u brzegów;
Bogatem futrem zgięte wielbłądy
Gdzieś przebiegają dla ciebie lądy,
I białe puszcze ze śniegów.

Dla ciebie wszystkie szale w bazarze;
Dla ciebie greckich wysep korsarze
Rabują Franków towary;
Z pieczar indyjskich olbrzymie słonie
Niosą klejnoty, by ciemne skronie
Oświécić mojéj Lazary.

Dla ciebie stroją słupy z porfiru
Kobierce Jezdu i Kaszemiru
Jak wnętrze świątyni Kaaby;
Dla ciebie płacą haracz z kadzideł,
Ten potępiony lud bez wędzideł —
Syny Eblisa: Araby.

Dla ciebie biją srebrne fontanny
Chłodem i wonią; twéj łaźni wanny
Kute z greckiego marmuru,
Bielsze są nawet niźli twe ciało,
I jako po niem krążą nieśmiało
Przejrzyste żyłki lazuru.

O zważ Sułtanko! gdy Klefty żoną
W burzliwych nocach nogą skrwawioną
Po górach za nim biegałaś —
To on dla ciebie niemiał ni domu,
Nic, prócz swéj strzelby! z nim pośród łomu
Na ostrym kamieniu spałaś.

I ciebie piękną i ciebie młodą
Twój Klefta karmił chlebem i wodą,
Grubą tkaniną osłaniał;
Jak antilopa skacząc przez skały
Z tobą i z nożem w ręku — zuchwały!
Zbrojne me Spahi rozganiał.

To téż mnie srogo męczyła trwoga,
Zanim nadeszła ta chwila błoga,
Kiedy przy blasku kagańców,
Głowę psa tego ujrzałem w worze —
A ciebie Peri! wiódł na me łoże
Wódz moich czarnych rzezańców.

Lazaro! teraz sypiasz na puchu,
Oddech twéj piersi w lekkim podmuchu
Kołysze fręzlą kotary;
Czegoż tak smutna siedzisz od ranka?
Czyli przechodnia jaka cyganka
Rzuciła na ciebie czary?

Przebóg! krwią twoja splamiona warga,
Gniewna twa ręka na szmaty targa
Srebrnego zawoju końce;
Jakaż chęć twoją zapełnia duszę?
Powiedz! a ziemię, niebo poruszę,
Nowe zapalę ci słońce!

O powiedz! jakie są twe życzenia,
Choćby to dziecka były zachcenia,
Ja je wypełnię od razu;
Oto niewolnik klęka przed tobą,
Miej litość nad nim, miej ją nad sobą,
Wyrzeknij słowo rozkazu.“

«Omarze!» — branka przerwała grecka —
«Myśl moja nie jest zachceniem dziecka»
  I wzniosła oczy płonące,
I lwicą była z tém okiem w blasku —
«Baszo! twój kindżał chcę mieć z Damasku —
  Na nim twe serce drgające!»

DAMOKLES.

Nad Syrakuzą, miastem żałoby,
Tyran okrutny, sęp krwawodzioby,
 Potężnem berłem panował.
Pod swoje stopy słał ludzkie czaszki,
I niewolników pruł dla igraszki,
 A przy ich jęku — ucztował.

Nieznając miasta ni obyczajów,
Do Syrakuzy z dalekich krajów
 Damokles mędrzec przybywa;
I ledwie wysiadł z okrętu łodzi,
Tuż mu niewolnik drogę zachodzi,
 Do zamku króla go wzywa.

Poszedł; — przy wielkich schodów podnóżu
Pielgrzymie suknie otrzepał z kurzu
 I wstąpił w zamku przysionki;
Każdy przysionek sługami pełny,
Każdego szatę z tyryjskiéj wełny
 Bramują złote koronki.

I przez komnaty przechodził mnogie,
Na ścianach lśniły kamienie drogie
   Ujęte w sztuczne oprawki;
A kiedy oczy wzniósł ku powale,
Zadrzał z podziwu — miast niej, zuchwale
   Wisiały szklanne sadzawki!

W sali tronowej siedział dumny,
Około tronu białe kolumny
   Aż w niebo parły swe głowy;
Damokles patrząc na te przepychy
Ukląkł olśniony, — do syna pychy
   Takiemi przemówił słowy:

»Potężny królu! bogów kochanku!
Twe czoło ciągle w bezwiędłym wianku
   Godowe ozdabia kwiecie;
Budzisz się, żeby usnąć w rozkoszy,
A myśl o jutrze snu ci nie płoszy —
   Tyś najszczęśliwszy na świecie!

Na tobie panie! potwór zawiści
Zamysłu swego nigdy nie ziści,
   Bo ty wytępiasz go w jądrze.«
Tu urwał mędrzec, co żył nie błądząc,
Damokles mędrzec — lecz z tych słów sądząc
   Nie bardzo przemówił mądrze.

Tyran się zaśmiał i odrzekł na to:
»Niechże cię moją obloką szatą,
   Na moje złożą posłanie,
Co tylko każdy zmysł twój zapragnie,
Niech do twéj woli zaraz się nagnie,
   A z jutrem zmienisz swe zdanie.«

Wszechwładną ręką król na tłum skinął,
I wnet się z tłumu rój sług wywinął,
Ci mędrca do łaźni wiodą;
A nim go futer okryli błamem,
Wprzód go natarli wonnym balsamem,
Różanną oblali wodą.

A gdy omrokiem ćmiło wieczorze,
Damokles zaległ królewskie łoże,
Oparty na złotogłowiu;
A przed nim stały z owocem czary,
Z Falerny winem złote puhary,
W girlandy kwietnem okowiu.

A szereg krytych gwiazd w alabastrach
Przed nim się migał w tęczowych astrach,
Kadzidła wiały z trójnogów,
Dwanaście cudnych dziewic czekało,
By spowić białem ramieniem ciało —
Damokles drwił z wszystkich bogów.

Wtem gdy znienacka z puchów zatopu
Szczęśliwy mędrzec w górę, do stropu
Wzrok rozmarzony podnosi —
W gardle mu zmarło przestrachu słowo:
Nad jego łożem, nad jego głową
Miecz duży wisiał na włosi!

Zerwał się z łoża — a drząc o życie
Tak szeptał z zamku uchodząc skrycie:
» Bezpieczniej owca zalękła
Może usypiać w wilków gromadzie,
Bezpieczniej noga stąpa po gadzie,
Niźli . . . «
Ach, struna mi pękła!

GĘŚL JEREMIASZA.

1.

O gęśli dawna! rzucam cię pod nogę
I gniewną stopą depcę cię i łamię,
Bo ja dla siebie już śpiewać nie mogę;
Po Jeremiasza gęśl wyciągam ramię!
Do wtóru bratnich jęków ją ostrunię,
Dzikim rozstrojem każdą pieśń zpiołunię.

Bo chcę wyśpiewać i ten ból matczyny,
Gdy wróg jej dziécię rzuci do płomienia;
I cichą rozpacz ojca, gdy mu syny
Wloką, by przybić na krzyż poświęcenia —
Bo chcę wyśpiewać wściekły szamot męża,
Kiedy przykuty widzi błysk oręża.

Zapieram siebie! wszystkie moje troski
Rzucam w głąb serca, niech bez echa giną;
Zapieram siebie — jak zesłannik boski.
Cały mój naród jest dla mnie rodziną!
Łzy z jego oczu, krew z jego ran czerpię,
Cierpiąc ból jego chcę śpiewać. Ach cierpię !

Gęśl w słabej ręce dzierzę po praojcu —
Chociaż mą duszę jego duch okola,
Trwogą się chwieję — i w moim ogrojcu
Wołam: Niech Ojcze! spełni się Twa wola,
I jeźli wypić mam kielich goryczy,
Niech mnie umacnia Twój anioł strażniczy;

I niechże taką zbroją mnie okuje,
Od któréj każda chęć ziemiańska pryśnie.
O! bo ja słaby — nieraz potrzebuję
Przyjaźnej piersi, co mi skroń przyciśnie,
Ciszy dla serca, snu dla moich powiek —
Daj mi zapomnąć — żem człowiek!

2.

Czuję się mocnym — już duch wstąpił we mnie,
Krwawe obrazy cisną się natłokiem,
Tak jasno widzę! — i przyszłości ciemnie
Jak błyskawicą rozświetlam mem okiem.
Dźwięk dzikich tonów już mnie nie przestrasza —
Witaj mi gęśli! — gęśli Jeremiasza.

I siadam smutny na zwalonym głazie,
Przedemną miasto smutku się rozściela;
Jestem jak jedna palma na oazie
Bez towarzysza, i bez przyjaciela —
Miałem ich wiele! — wróg ich wymordował,
A resztę żywych pod ziemię pochował.

I nieraz w nocnej ciszy o Jehowa!
Kiedy mną rzuci pokora i skrucha,
I aż na ziemię padnie moja głowa —

Słyszę podziemny, głuchy ciąg łańcucha,
Słyszę daleki jakiś łomot młota:
To moi bracia żłobią miny złota!

W ciągłych męczarniach moje oko wodzę
Od wód Baltyku do Czarnego morza.
Panie! ja widzę, jak matce niebodze
Wróg małe dzieci wydziera z pod noża,
Potem je rzuca o krawędzie lodu,
Żeby wytępić szczep mego narodu.

I widzę w puszczach związany w szeregu
Lud biczowany i głodem i mrozem —
Giną bez wieści! — i tylko po śniegu
Iście ich znaczy krew starta powrozem;
Panie! czyż krew ta wylana pod biczem
Na naszej szali pokuty jest niczem?

Panie! my grzeszni, o grzeszni my bardzo!
Klątwa nam ciąży, — bo są między nami,
Co pocałunkiem tyrana nie gardzą,
Co się bratniemi napawają łzami,
I żeby upstrzyć się plugawą gwiazdą,
Podli! — kalają własne swoje gniazdo.

Klątwa nam ciąży! o, bo są i tacy,
Co się z wrogami podzielają łupem,
Co ostrą szponą jak krwiożerczy ptacy
Nieraz się pastwią nad matczynym trupem,
A między bracią pełzają szakalem —
O płacz, płacz Polsko! siostro Jeruzalem!

3.

Niezmierna żałość gniecie moją duszę,
Omdlała ręka już struną nie włada,
Wiatr mną kołysze, na proch się rozkruszę —
Proroku! duch twój niech do mnie zagada,
Bo ból okręcił mnie ogniową szarfą
I na twarz padam razem z twoją harfą!

Warszawa.

STANCE DO MOJEJ MATKI.

Oto twe dziécię, twój syn pierworodny
Znowu do serca twojego kołacze,
Ty je jak zawsze otwierasz — on płacze,
Bo w tę świątnicę znów wchodzi niegodny.

Ciasną mu była ojcowista chata,
Niby go gniotły matczyne pieluchy,
Młodego orła pobratymcze duchy
Wciąż go wabiły do boju — do świata.

Przestrzeżne słowa twojego pacierza
Mimo mych uszu płynęły jak woda;
Szalono grała krew gorąca, młoda:
Do lotu ptaszę! — a skrzydła bez pierza!
I poleciałem .....

Oto twe dziécię, jak ptak zabłąkany,
Powraca nazad do rodzinnej strzechy,
Szukać spoczynku, ciszy i pociechy,
Szukać balsamu dla zadanej rany.

Po własnej ziemi w pielgrzymim przejeździe
Przechował w sercu ból swego narodu,
A jemu na nie kładziono garść lodu,
I cierń go bodła w każdem obcem gnieździe.

To on nim nową zamyśli wędrówkę,
Aby oślepić pamięci straszydło,
Pod twoje matko podsuwa się skrzydło,
Jak słabe pisklę przytula swą główkę.

Nie wiń go matko! jeźli czasem we śnie
Pomnąc na męki i cierpienia bliźnie,
On choć szczęśliwy w swojej ojcowiźnie,
Nieraz zbudzony zakrzyczy boleśnie.

Nie wiń go matko! gdy ostrem wędzidłem
Jeżeli pamięć mu sercem zatarga,
Z ust jego wyjdzie przekleństwo lub skarga —
Choć mu tak błogo jest pod twojem skrzydłem.

Oto twe dziécię po męczącym boju
Na pierś twą kładzie zszamotane czoło,
I swe ramiona oplata w około,
Niby dwie miękkie gałązki powoju.

Matko! on ciebie uwielbia i kocha,
Samego Boga on weźmie za świadka,
Boś ty mu wszystkiem, boś ty jego matka —
A resztę świata — to niby macocha.

O! bo dla niego, dla twojego syna
Nieraz ci troski głowę zakłopocą,
Nieraz zapłaczesz i bezsenną nocą
Westchniesz dla niego — o moja jedyna!

Bo jeźli kiedy w nim dusza zagrała
Dla cnoty, jeźli myśl powstała wielka,
To tobie winien, boś ty rodzicielka
Tę iskrę w jego sercu rozdmuchała.

A on ubogi — czemże na podziękę
Za tyle ofiar, czemże się odpłaci?
Dla ciebie matko, jak dla swoich braci
Nic nie ma — tylko miłość i piosenkę.

Lecz jeźli kiedy lud, wypłatnik boży
Wieniec mu sławy zawiesi u głowy,
To on dla ciebie pierwszy liść laurowy
Zerwie ze skroni i u nóg twych złoży.

*

O matko moja! jak silne łańcuchy
Zarzuć, o! zarzuć nademną ramiona,
Osłoń mi oczy, przyciśnij do łona,
Bo znów na boje wołają mnie duchy!

— 1845 —

PRZECZUCIE ŚMIERCI.

Dziwnato chwila! pokój mam w duszy
I serce ciche, a świat tęczowy
Śmieje się do mnie, i nibym zdrowy;
A jednak czuję jak mi się kruszy
Ostatnia struna z życiem wiążąca,
A jednak patrzę na zachód słońca
Jakbym go ujrzéć już więcéj nie miał,
A jednak głowa tak mi obwisa,
Jak liść żałobny, smutny, cyprysa
Kiedy mu słowik nagle oniemiał.

Dziwnato chwila! przed memi oczy
Świat się tak mglisto jak przez łzę toczy,
I chłód grobowy kości me wierci;
Jak liść osiki tak jestem drzący,
I tęskny jestem i jestem śpiący,
Jakby mnie skrzydłem tknął anioł śmierci.

I taką nutą gra mi powietrze
Jak gdy się z gościem nie ziemskim zetrze,
   A moje imię słyszę w téj nucie;
Chciałbym się w ptaka, w chmurkę przewinąć,
By za tym głosem do gwiazd popłynąć —
   Jestże to śmierci przeczucie?

   A oto jestem jak kwietna trześń,
W koło mej głowy majową nocą
Myśli-pszczółeczki rojem brzękocą,
A w koło serca ptaszki świegocą,
   A ja rozwiewam woń.... pieśń.

Lecz cóż po kwiecie, lecz cóż po woni,
   Li kwiatem, wonią, — nic więcej?
Będęż sechł tylko przy białej skroni
   Albo przy piersi dziewczęcej?

Jabym palące chciał czoła bliźnie
   Osłonić cieniem i chłodem,
Usta maczane w klątwy truciźnie
   Osłodzić owocu miodem;
Jabym chciał w mroźnej, trętwiącej zimie
   Kiedy im serce oskrzepłe,
Snem letargicznym, gnuśnym zadrzymie
   Wybuchnąć w płomyki ciepłe;
Jabym zaświecić chciał im pochodnią
   Między spodleniem a zbrodnią;
Jabym chciał błysnąć ogniowym ciosem,
   W ręku anioła mściciela;
Jabym się spalić chciał nawet stosem,
   Byleby z moim popiołem,
Na zmazę winy, runęły społem
   Popioły odkupiciela!

A oto teraz chylę gałązki
Bogate kwiatem i wonią
Smutny, bo przyszłych plonów zawiązki
Śmierć może stargać swą dłonią.

I mamże Panie! już tak za młodu
Zbiegać w początku mego zawodu?
I blizkiej śmierci zsyłasz mi wróżbę
Kiedym rozpoczął już świętą służbę
Ku chwale Twojej, mego narodu?

Oto przed moim rodzinnym progiem
Przestrzeń tak żyźna leży odłogiem;
Chęcią płomienną, ręką gotową
Chcę po niej rzucać nasienie: słowo!
Miałożby ramię Twojego gniewu
Myśl mą krępować łańcuchem zgonu?
Zwichnąć mi rękę w środku zasiewu?
Oślepić oko na widok plonu?
Oniemieć usta w połowie śpiewu?

Jam tak dalece już się zadłużył
U Ciebie Panie, u braci ludzi,
Że mnie myśl owa męczy i trudzi,
Żem się wam dotąd nic nie odsłużył.

I z niemowlęcia i od kołyski
Ojciec i matka jak dwa anioły
Nieoszczędzali trudu, mozoły,
Żeby prostować duszę woskową
Żeby w niej tłoczyć swych cnót odciski.
I formowali mnie w kształt kolumny
Czystej i białej, w niebo patrzącej,
A burzom, gromom urągającej,

Coby nikomu pokłon swą głową
Nieuderzyła, chyba w dno trumny.

A teraz przyszedł już czas wypłaty —
Dług mej wdzięczności przez tyle laty
Niczem nie zmniejszył się od powicia;
O Panie! Panie! daj życia, życia!

I kiedy z bryły chropawej dziecka
Z ich rąk wybiegłem pięknym filarem,
O! to ta przyszłość, szorstka, nieświecka,
Nie miłym dla mnie była ciężarem.

I zamiast kościół boży podpierać,
Zamiast piorunom nadstawiać czoła,
Lubiłem rzewno, tęskno pozierać
Jak ze sklepienia nocnego szczytu
Przez siatkę chmurek, przez mgłę błękitu,
Tańcem się wiła gwiazda wesoła.
Lubiłem kiedy miękkim powojem
Gałąź się do mej piersi tuliła,
Kiedy zielonym, wonnym zawojem
W koło mej skroni się zakręciła,
A wtedy dusza senna pokojem
Nie męzko w takiem objęciu śniła.

I gdyby teraz mnie lud zapytał,
Com mu za wieszczby z nieba wyczytał,
Czy wypełniłem cel posłannictwa?
O! tobym spłonął wstydem zwodnictwa,
O! to lud klątwąby mnie przywitał.

Lecz dzięki Panu! jeszczem przechował
Moc duszy młodej, i niezmarnował
Wszystkiego czasu; wyjdę z ukrycia,
I lud mi klaśnie w chwili rozwicia —
Lecz Panie! Panie! daj życia, życia!

POLSKA Z KRZYŻA.

Na krzyżu konam z zwieszoną skronią,
Z przebitą piersią, z przebitą dłonią,
Z skrwawioną koroną cierni;
Zczerniałe wzgórza ludzi mrowiskiem
Męce mej wtórzą urągowiskiem —
A gdzież są, gdzież moi wierni?

A chciwość moje szaty rozdziera,
I złość ciekawie ku mnie poziera,
Czy z skargą skona syn boży;
Z piołunu do mnie skacze kielichem,
Śmieje się głośno nieszczerym śmiechem,
A w duszy jednak się trwoży.

O ludy ziemi! i na was czeka
Okrutna męka syna człowieka,
Przyszłość mi wasza odkryta;
Spełnia wyroku chyżo się zbliża,
Wam błogosławić z mojego krzyża
Zrywa się ręka przybita.

I was do krzyża także przybiją,
Skrwawione ręce potem umyją,
A wy umierać będziecie;

Niechże was srogość mąk nie przestrasza,
Niech jako moja będzie śmierć wasza,
Jeżeli zmartwychstać chcecie.

Zwisa mi głowa, oko się mroczy,
A wrzask bluźnierczy mętno się toczy,
Niebo się kryje żałobą,
A głos mój pada na tłuszczę ciemną:
O ludu ziemi! — nie płacz nademną,
O! zapłacz lepiej nad sobą!

TRZY STRUNY.

O! mam ja harfę — od Boga kochany!
On ją w olbrzymiej zbudował strukturze,
Wielkich gór szczyty i dwa oceany
Służą jej wspólnie za poboczne ściany,
A jasne niebo wisi nad nią w górze,
A moje serce o! to jej podnóże.

I z tego serca biegną struny różne,
A wszystkie były z mych bolów poczęte;
Ja je wysyłam jak ptaki podróżne,
Niechaj brzmią pieśnią, którą ziemi dłużne,
Niech jak łabędzie z milczenia odklęte
Zawodzą hymny prorocze i święte.

Jedna z strun takich jak włókno pogody
Ciągle lecąca i w ciszy powiewa,
Wciąż się zaczepia o góry, o wody,
O prochy mogił, o zwalone grody,
Wciąż na podsłuchu, co tam szumią drzewa,
Co woda szemrze, co jaskółka śpiewa.

A kiedy całą tę harfę oblata,
Na tysiąc ramion jak polip rozwiana,
Kiedy się wszędzie ze wszystkiem pobrata,
I w końcu pozna że z całego świata
Ach! najpiękniejsza ta matka kochana —
To pod mą dłonią drzy rozradowana.

A druga struna wiąże się do strzechy
Tych biednych sierot, co w zniewadze giną,
I tam opieśnia ich żal bez pociechy,
I te łzy krwawe, co przez nasze grzechy
Przez tyle wieków nieotarte płyną —
Że zbrodnią jest już to, co było winą.

Ta druga struna chciałaby się dostać
Do ich serc głębi, by jej tajnię głosić,
Aby rozjemcą między nami zostać,!
Aby wiedziała gdzie grozić, gdzie chłostać,
I komu kazać i kogo poprosić,
I jakie modły do Boga zanosić.

A trzecia struna, moja struna złota,
Pnie się do nieba jak sznurek pajęczy,
A tam niebieskie, zasunięte wrota
Tak gęstą siecią ciekawie obmota,
Że każde słowo wyroków oddźwięczy,
Każda wieść zbiegnie po takiej poręczy.

I po tej strunie płynie wielka skarga,
Skarga milionów — ale w swoim biegu
Za każdym ruchem mojem sercem targa;
Tak przy gorącej modlitwie drzy warga,
Tak kiedy łabędź swą piersią ze śniegu
Rozbija fale, drzy lilja u brzegu.

Biada, o biada temu, kto znieważy
Świętą tę harfę spowitą w całuny;
Piętno mu hańby wycisnę na twarzy,
Każda go struna przeklnie i zaskarzy
Przed sądem Boga; nad nim te trzy struny
Dzień i noc świecić będą jak pioruny!

Lecz oto wiedzie nas gwiazda zaranna
W czas obiecany światłością obrończą;
Wtedy z tej harfy melodja sklanna
Uderzy w niebo: Hosanna! hosanna! —
Wtedy te struny w jedną się połączą
I pieśń rozpoczną, co wieki nie skończą.

FANTAZYA NAD ZABITĄ DZIEWCZYNĄ.*)

DZIEWCZYNA PIERWSZA.

O senna siostro! o czem ty marzysz
Z zwróconą ku gwiazdom twarzą?
W milczeniu nocy, czy tak się skarzysz
Jak białe róże się skarzą?

Głosu twojego tłum nie posłyszy, —
Zrodzi się w ciszy i zginie w ciszy
Jak łza, co serce wypłacze;
Ale był słowik, co twoją spowiedź
Schwycił natchnieniem, więc ci odpowiedź
Śle przez me usta prostacze.

O senna siostro! nie skarz się więcej —
Choć cię na ziemię zepchnięto
Aby cię szorstkie porwały ręce
A potem rzuciły — zmiętą.

*) Wiersz ten służy za epilog do niedrukowanego dramatu Karola Szajnochy p. t.: Panicz i dziewczyna.

Nie skarz się nie skarz! kwiat, co swą wonią
Wiał nad niewdzięczną, weselną skronią
I uwiądł śród pjanych śmiechu —
Lepszą miał dolę, niż ten, co głazy
Obwijał kwieciem, aż mu się płazy
Wylęgły w brudnym kielichu.

Lepszą miał dolę, kto przypadł kwiatem
Na serce bliźnie z wróżbą szczęśliwą,
Niż ten, co wzgardził Bogiem i światem
I wyrósł chwastem, pokrzywą.

Niż ten, co bratni odstąpi wieniec
I ściera z czoła wstydu rumieniec,
Choć słońce patrzy nań ostro;
Niż ten, co tarnią stanie śród drogi
By ranić świętych pielgrzymów nogi....
. . . .
O, senna siostro!..

DZIEWCZYNA DRUGA.

Na kurhanie, nad krynicą
Smutniała kalina;
Z zapłakaną tam źrenicą
Uklękła dziewczyna.

— Jak ja mogę być wesołą
Kiedy zdrój w żałobie.
— Jak tu z ziemi podnieść czoło
Kiedy matka w grobie.

Leciał krasy ptak do wody
I ujrzał kalinę;
Wybiegł z strzelbą panicz młody
I ujrzał dziewczynę.

— Oj kalino! nocą ciemną
Daj mi jagód swoich.
— Oj dziewczyno! pójdź, pójdź zemną
Do pałaców moich.

— Pełne krwi jagody u mnie
To krew z nich wytryśnie!
— Już ten moim będzie w trumnie
Kto mnie raz uściśnie!

— Oj kalino! tu usiędę
By ci wiecznie śpiewać.
— Oj dziewczyno! ja cię będę
Na sercu ogrzewać.

I nagięła się kalina
Do ptaka krasnego.
I skłoniła się dziewczyna
W ramiona lubego.

Niewiem jakim pan wyrodny
Pozbył ją sposobem —
Dość że uciekł ptak swobodny
Z zakrwawionym dziobem.

DZIEWCZYNA PIERWSZA.

Dosyć tych pieśni! bo one po wierzchu
Płyną żywota jako lekkie łodzie.
Ileż tam walki w jego głębin zmierzchu,
Ileż tam dziejów na to dno osiada,
Choć gładkie niebo na wodzie.

Pieśń ma jak nurek w tę głębinę wpada,
Długo się między straszydłami wije,

Długo się błąka w koralowym lesie,
Nim się na skałach ukrytych rozbije
   Albo wam perłę wyniesie.

Mnie duch nieznany kładzie w usta słowa,
Wyrzec je muszę na zaklęcie jego;
Sercem przeczuwam co nie pojmie głowa;
Jam jak ptak morski, co przed niepogodą
   Śpiewa — a nie wié dla czego.

O senna siostro! i twą duszę młodą
Dopóki trzymał jasny duch w niewoli
Życiem jak pieśnią igrałaś do woli;
Lecz gdy go światy uniosły jaskrawsze,
   I tyś umilkła na zawsze.

Jakże się dziwnie ludzkie życie gmatwa!
Pokój nas czeka tam na drugim brzegu,
Niebo nam świéci — to przeprawa łatwa;
Więc się rzucamy szereg po szeregu,
A morze ciche — pogodą nas mami,
Ciche — choć płynie krwią naszą i łzami!
I ciebie siostro długo fala niosła
Niby w kolebce bez steru i wiosła;
Z ufnością krwawej oddałaś się fali
Myśląc że barwę wzięła od korali —
A ona ciebie z muszlami i z pianą
Na brzeg rzuciła z piersią roztrzaskaną.

O życie ludzkie! — w zamian za cierpienia
Cóż ty nam dajesz? — nic, tylko marzenia,
   Nic, tylko krótkie sny;

Z świętej miłości i z poświęceń wielu,
Z wielkich nadziei i z wielkiego celu
Nic — tylko krew i łzy.

GŁOS Z GÓRY.

Każda myśl wielka przebywa męczarnie
Zanim ją ludzkość ogarnie;
A serce miękkie nie masz boleć w łonie
Zanim go wieczność pochłonie?

DZIEWCZYNA DRUGA.

Lekko, lekko — w krzyż jej ręce
Załamcie w pokorze,
A ja piosenką poświęcę
Jej liściane łoże.
Niechaj marzy senne łono
Śpiewno i zielono.

CHÓR.

Śpiewno i zielono.
Niechaj się tam biednej prześni,
Że usnęła w strachu
Przy słowika nocnej pieśni,
Przy leśnym zapachu;
Że usnęła bez miłego
Czekając na niego.

CHÓR.

Czekając na niego.
Gdy spuścicie ją uśpioną
Do cichego doła,

To niech twarzą obróconą
    Pogląda do sioła;
Czy nie wyjdzie kto z wieczora
Od białego dwora.

CHÓR.

Od białego dwora.

A gdy zbudzą ją anieli,
    Na swém łożu siędzie,
I krew ujrzy na pościeli;
    To jéj zdać się będzie,
Że gdy luby ją uścisnął
Sznur korali prysnął.

CHÓR.

Sznur korali prysnął.

MARZYCIEL.

Jemu od skroni wiatr włosy odegnał,
Gwiazdy ku niemu migały wesoło;
On stał na wietrze — a blade miał czoło,
I takiem okiem potaczał w około,
Jakby konając świat żegnał.

I z białą twarzą jak posąg nagrobny
On patrzał w niebo — a z bolu omdlewał;
A kiedy nocny chłód, co nim powiewał,
Strzeźwił mu zmysły — on gwiazdom zaśpiewał,
A głos miał drżący, żałobny:

„I nigdyż ciszy nie znajdę dla serca!
Jak Arab w puszczy ku widmu ogrodu
Stąpam pragnący w ramiona zawodu —
I tracąc wiarę, czyż mam już za młodu
Urągać jako bluźnierca?

Czego się dotknę w ręku mi się kruszy;
Ciemnieje droga kędy stopy zwrócę;
Blednieje gwiazda gdy na nią wzrok rzucę;
Zmarłym nadziejom pieśń pogrzebu nucę,
Z nową nadzieją w méj duszy!

I czuję niechęć ku dniowi białemu;
W ciemnej ustroni samotny usiadam
I z tamtąd z jednym tylko Bogiem gadam —
Lżéj mi gdy duszę przed nim wyspowiadam,
A jednak smutno samemu!

I znowu sercu cięży jakieś brzemię,
Rwę się do świata, samotność mię nudzi.
„Tyś śpiewak ludu, więc idź między ludzi —
„O biedny ptaku! jeźli lot cię trudzi
„Zlatuj z błękitu na ziemię.»

To ziemia, ziemia! — jaki gwar w tym wirze,
A gwar niesforny, a wir ciemny, mętny,
Rzucam się w niego miłością namiętny —
Obco w nim jakoś i chłodno; — i smętny
Opieram głowę na lirze.

Śpiewać im będę — mam ja pieśni z nieba;
Słuchaj mię ludu, słuchaj! — gdzież jest rzesza?
Ona wesoło do cyrku pospiesza,
Tam gdzie ją skoczek najemny rozśmiesza —
Jej smutnéj pieśni nie trzeba.

Więc jako pielgrzym gdy między skałami
Zbłąkany spyta o drogę — i słucha,
A głos mu nazad powraca do ucha,
Nikt go nie słyszał! — i znów cisza głucha —
Jak on zalałem się łzami.

Kilku zostało — na moją pieśń czeka —
Śpiewam! — o! jak się im źrenice palą,
I płaczą zemną, wraz zemną się żalą —
Odeszli — jutro pieśniarza pochwalą,
Ale potępią człowieka!

Bo śpiewak jeźli chce ujść od potwarzy
Niechaj przed ludźmi stoi niewidomie,
A pieśń niech swoją zwiastuje im w gromie,
Niech ją jak morze rozleje w ogromie,
Niech ją jak wulkan rozżarzy.

I niechaj będzie jako Bóg na niebie
Świętą tajnicą zakryty dla świata,
Bo człowiek nawet i Bogiem pomiata
Jeźli w tym Bogu ujrzy swego brata
I podobnego do siebie.

A więc uciekam przed zawiścią braci,
I znów mię cisza grobowa oblega,
Gdy w serc tysiącu mój głos się rozlega
Niemam nikogo! — li po ścianach biega
Cień mojéj własnej postaci.

Serce, którego uczuciem gorącem
Ludzkość jak swoją własnością frymarczy,
Nie może spocząć gdy ból go obarczy,
Niby gladiator skrwawiony na tarczy,
Na drugiem sercu bijącem.

I wiecznie tęsknę za jakąś istotą
Coby mą głowę do piersi stuliła,
I jako miękki powój się owiła
O moją duszę — i równą mi była
Sercem, natchnieniem i cnotą.

A jeźli wieniec cierniowy mi splotą
A ból do grobu zepchnie mnie przedwcześnie,
To żeby ona złamana boleśnie
Przy mojej urnie, — świeciła mi we śnie
Jak anioł z koroną złotą.

Nieraz się rzucam zaślepiony w wierze
Gdzie mię zawabi blask jasnego czoła,
Gdzie mię głos srebrny do siebie przywoła:
Zaczynam kochać — i zamiast anioła
Znajduję potem półzwierze!

A jeźli kiedy szczęśliwym trafunkiem
Znajdę na świecie bliźnią duszę taką,
Którą Bóg z moją tą samą oznaką
Związał, — i natchnął ją myślą jednaką:
Świat je rozdziela — rachunkiem.

I wagą złota każdą duszę zważą
I pójdą w targi — kto da więcej za nią,
Każdą z osobna rozedrą, poranią,
I jak kwiat słaby skryją sklanną banią —
A potem zapomnąć każą.

O straszno patrzyć w dalszą drogę ciemną!
Codziennie oczy do światła otwierać
By niemi tylko w noc czarną pozierać,
Cierpieć za życia, a w końcu umierać
By nikt nie płakał nademną....?

A wszak do szczęścia równe miałem prawo
Razem z drugiemi; — za cóż mię Bóg karze?
Może w tej chwili kiedy ja się skarżę,
On srogi wyrok zmienia dla mnie; . . . marzę . . .
Ta gwiazda świeci tak mgławo . . .

Chcę się w nią wpatrzyć, — niechaj oko wieszcze
Jasnym promieniem ciągle na nią leci;
Jeźli ta blada gwiazda się roznieci
I nagłym blaskiem na niebie zaświeci —
To będę szczęśliwym jeszcze.“

I patrzał w gwiazdę — czekał od niej hasła,
I patrzał długo nieruchomem okiem,
I drzał jak listek pod uczuć natłokiem —
I padł na ziemię — bo gwiazda pomrokiem
Mgliła się, mgliła — i zgasła.

— 1846 —

ZIMOWYM ZMROKIEM.

Samotny siedzę, wieczorny mrok pada,
Tam wicher miecie tumanami śniegu,
Z nim czarnych ptaków łamie się gromada
I kracząc szuka po drzewach noclegu.

Gwarem czeladzi gada do mnie ściana;
Tam oni ogień obsiedli weseli,
I jakaś piosnka, rzewna, zapłakana;
Jak druga nitka ciągnie się z kądzieli.

Krzyk czarnych ptaków i piosnkę dziewczęcą
Łomotem swoim splątała szaruga;
Sprzeczne te głosy wichrzą się i męcą
Razem z mą myślą — Ach, a noc tak długa!

Przemykam oczy i na me oblicze
Milczący kładę wyschłe obie dłonie,
I mego serca uderzenia liczę;
O! jakże zwolna ono bije w łonie.

Więc mi się zdaje, że ja już spokojny
Usnąłem ciszą pod mogiłą ciemną,
Podczas gdy ludzkich namiętności wojny
Wirem się tocząc szaleją nademną.

Do czarnoksięzkiej bani świat podobny
Szatanów krzykiem rozdętej ogromnie,
Jeden głos tylko ma dla mnie żałobny,
Jeden głos tylko, co żali się po mnie.

W TARNAWCE.

On mi dłoń ścisnął — i noc spokojną
Nawiał nademną życzeniem;
Pocóż wy mary wspomnień tak rojno
Bieżycie w serce z cierpieniem?

Czemuż szarpiących myśli boleśnie
Nie wyrwie z czoła noc blada
Razem z tym włosem, co tak przedwcześnie
Z bolałej skroni wypada?

On mi dłoń ścisnął — i poszedł zasnąć
Śród woni trojga aniołów,
A ja się boję światło zagasnąć
Choć głowa ciężka jak ołów.

Anioł-stróż wieje nad jego domem
Skrzydłem go słoni przed chmurą,
To ja wędrowiec pędzony gromem
Pod jedno wkradam się pióro.

I do tej świętej czepiam się strzechy
Jak grzesznik do szat kapłana,
Aby tchem wciągnąć zapas pociechy
Nim w podróż wyruszę z rana.

Kiedy poglądam na jego dzieci
Pamięć się zwodzi zdradziecko,
Serce świetleje i myśl się kwieci —
Bo mi się zdaje — żem dziecko.

I w tem marzeniu długo się nurzę
Długo się myśli plątają,
Zanim przypomnę, żem przetrwał burze,
Że nowe na mnie czekają.

A gdy się oko z mroku oddymi
Widzę stojący u proga
Kij mój święcony, kij mój pielgrzymi,
Co ma wieść ludzi — do Boga.

W ALBUM E. B.

Chcesz mego imienia — i na cóż to imię?
Ono jak robak w zwiędłym liściu drzymie
I siatkę na skrzydła przędzie;
Może w tej gnuśnej, zaumarłej klamrze
Bolem strętwieje i w zwątpieniu zamrze
Nim złotym motylem będzie.

Chcesz mego imienia — i na cóż to imię?
Ono jak iskra w popiele i w dymie
I blado i smutno świeci;
Może się w kole czarnych węgli zbrudzi,
W popiół rozsypie i zapał ostudzi
Zanim się w płomień roznieci.

ZIEMIA.

Ziemio! nie jesteś ty miłości tworem,
Bo niéma serca ni miłości w tobie —
Jak zalotnica strojąc się wieczorem
O blasku jeno marzysz, o ozdobie.
Za prawdę ziemio, z nudy i przesytu
Bóg ci dał chwilę motylego bytu,
I jak ćma głupia kołujesz przy słońcu,
Aże w nie wpadniesz i spłoniesz na końcu.
Tyś samolubna! zanurzona w kwieciach
O swych cierpiących zapominasz dzieciach;
Ciekawie chwytasz głosy różnéj treści,
Oprócz jednego — prócz głosu boleści.

Nieraz z twej cierni wiła dłoń zdradziecka
Koronę męki dla twojego dziecka;
Ta cierń zbrodnicza świętą krwią opita
Potem na wiosnę w biały kwiat rozkwita,
I ptaki o niej śpiewają po świecie:
Jakie to białe i niewinne kwiecie!

I nad naszemi domy gdy pożary
Porozwieszają czerwone sztandary,
A matka z włosem roziskrzonym w błyski
Do niemowlęcej rzuca się kołyski —

To wtedy chmura lecąca po niebie
Śród ciemnej nocy tak szepce do siebie:
Wesołe ognie, co na ziemi płoną,
O, jakże pięknie malują mi łono!

Ziemio! tyś zawsze, tyś zawsze jednaka —
Szatan ironji wciąż lata nad tobą,
Co nam ból sprawia, tobie jest ozdobą,
Tobie jest blaskiem. — Mówią, że łza ptaka
Zakamieniała staje się bursztynem;
Ziemio! krew nasza dla ciebie rubinem,
Jęk nasz dla ciebie melodijnym dźwiękiem,
Zbielałe kości tobie łożem miękkiem.

Widziałem dzisiaj jak łańcuch żórawi
Ciągnął od morza przynęcony wiosną,
I leciał chyżo — i pieśnią radośną
Sławił jeziora gdzie się lilja pławi
I sławił góry uwieńczone w sosny
I srebrne rzeki na dolin kobiercu —
I nad tą ziemią lecąc wolnym szlakiem
Nic, nic! nie widział, nie słyszał — prócz wiosny!
A jam zapłakał i mówiłem w sercu:
O Panie, czemuż ja nie jestem ptakiem!
Stare życzenie! — wiek wtórzy za wiekiem,
Że lepiéj ptakiem być — niźli człowiekiem.

———

FRAGMENT.

Hej, burzy, burzy! — na czarnej chmurze
Niech pędzi wicher z piorunem w dłoni,
I rwąc z jej czoła godowe róże,
Niechaj tę ziemię kirem osłoni.
W tysiąc wulkanów niech się rozpada,
I żałobnica skryta popiołem
Niech bodzie niebo węglanem czołem,
O swojej krzywdzie niech rozpowiada
Lawą łez spiekłych, ognia językiem,
Przekleństwem matki, sieroty krzykiem.

Stoję nad srodze pobitemi braćmi!!
Co? — Słońce świeci! — czemuż się nie zaćmi?
Czemuż nie pęka niebo, nie drga ziemia?
Gdzież Bóg, którego ten widok oniemia,
Gdzież On, co piorun dzierzy bez użytku?? —

Patrzcie! — zasłona świętego przybytku
Prysła jak dawniej — kolany zgiętemi
Wlokę się ku niej — pokorny, przy ziemi —
Spojrzałem za nią głęboko — i trwoga
Twarz mi zbieliła ... Nie widziałem Boga!!

- —- - —- -

TRZY STROFY.

Półsenny jestem — głowa ciężeje,
   Krzyżową przebyłem drogę,
Chciałbym w śnie zabyć okropne dzieje;
   Chciałbym — i zasnąć nie mogę.

Przyszła staruszka, matki mej matka,
   Rozwiała swe włosy siwe,
„O moje dziécie! młode masz latka,
   Czemuż nie jesteś szczęśliwe?“

O matko! dziécie twoje cierpiące
   Nie może zasnąć głęboko,
Aż wydrze z łona serce bolejące
   I jakieś drugie tam oko!

— - — - —

DO LILJI.

1.

Harfo moja złotostruna!
Czemu jęczysz z pod całuna
        Żałobnico ma!
Czy się lękasz by śpiew marny
Nie zwlókł z ciebie twój strój czarny
        Gdzie się niża łza?

Davnom rozbrat wziął z weselem
I nie będę już minstrelem
        Póki bolu — tchu,
I nie będę już balladą
Pod arkadą piękność bladą
        Kołysać do snu.

Bo i Ona, którą pieśnię,
Lubi patrzyć w świat boleśnie
        Lubi czarny strój,
I od woni róż ucieka,
Choć z wieńcami na nią czeka
        Cherubinów rój.

Bo i ona od kołyski
Zapamięta mieczów błyski
I bojowy róg,
I nie gardzi pieśnią moją
Choć me pieśni czoła stroją
W piołun, w cyprys, w głóg.

Pogrzebowa moja płaczko,
Harfo moja! tyś tułaczką
Była długi czas;
Gdyś leciała raz przez sioła,
Jam usłyszał głos anioła,
Co pocieszył nas.

2.

Tyżeś to chciała z błękitu
Rzucić w otchłań łez i zgrzytu
Garść niebieskich snów!
Toż mi teraz w świecie jaśniéj,
Z wiecznej mego serca waśni
Czystszym wyszedł znów.

I znów wierzę, i znów pragnę,
Ja, co chęci ani nagnę
Do czczych marzeń jazd,
Teraz skrzydła z kurzu trzepię
I po nieba szukam sklepie
Śladu dawnych gwiazd.

Długo nikt mnie nie rozumiał,
Byłem jak ptak co zaszumiał
Śród powietrznych fal,

I niknąłem ja w przezroczu,
I nie posłał nikt swych oczu
Za mną w przestrzeń — w dal.

I nie pytał nikt: w swym biegu
Do jakiego dąży brzegu
Wędrowny ptak ten,
Czy gdzie zginął śród odmętu,
Czy gdzie na maszcie okrętu
Zadumał się w sen.

I martwiałem żalem zdjęty,
Aż mię zbudził głos twój święty,
Teraz czuję ja,
Że mój brzeg dla wszystkich brzegiem,
Że polecą tam szeregiem,
Gdzie dzwoni pieśń ma.

Że w zwątpienia czarnej chmurze
Roztęczyłem moje piórze
Na przymierza znak,
A nie jeden wzniesie oczy,
By usłyszyć co proroczy
Zaśpiewa mu ptak.

3.

Jakżem dumny! — w mojej dumie
Jak w purpurze chodzę w tłumie;
Lecz u twoich wrót
Cichy jestem i pokorny,
Bom ja żebrak niepozorny
Przed skarbem twych cnót.

Bo łachmanem moim kryję
Nie jedną na piersi żmyję
Pełną jadów złych;
Przed słonecznym twoim blaskiem
Mój blask sztucznym wynalazkiem,
Mój blask tylko — szych!

Ty mi wróżysz sławę wielką — ?
Jabym spłynąć chciał kropelką
W szczęścia twego zdrój,
Bo ja tylko jak przechodzień
Błądzę w niebie, gdzie cię codzień
Wodzi anioł twój.

Zawieszona między rajem
Gdy modląc się za swym krajem
Wydanym na łup,
W niebo stąpasz z swym aniołem,
Tom nie godny zmiatać czołem
Śladów twoich stóp.

Pieśń, co piersi me rozszerza
Mniej jest warta od pacierza
Białej duszy twej,
Mniej od każdej smutnej myśli,
Co się w główce twojej kryśli
Śród przygody złej.

Tyś jak lilja z jasną skronią,
Co pociechy swojej wonią
Tam gdzie ból się gnie;
To do świętej tej prawicy
Naszej matki męczennicy
Jabym włożył cię.

4.

Aniołeczku! liljo biała!
Czegoś tak mi osmutniała,
Od jakiego snu?
O! choć duszą wniebowzięta,
Tyś z raju jak my wyklęta
Boś ty Polką tu.

Liljo, liljo! — na dolinie
Gdzie krew nasza strugą płynie
Zeszłaś wiotko ty,
Lecz we smutku tyś się zgięła,
Bo na ciebie krew bryzgnęła,
Krew i sierot łzy.

I krew, co twe łono pali,
Chcesz opłukać we łzy fali,
A więc płacz i cierp!
Czysta zbroja może trwalsza,
Lecz ta świętsza i wspanialsza,
Co ma rdzę i szczerb.

Siostro moja! niech więc razem
Będzie modlitwy wyrazem
Pieśń moja, twój płacz;
Każdy hymn, co ja wypieśnię
Na różańcu ty boleśnie
Łzą jak perłą znacz.

A gdy takie modły nasze
Jak ofiarną złożym czaszę
Jehowie u nóg,

O! to może na swe łono
Swą prawicą wytężoną
　　Podejmie ją Bóg.

5.

Siostro moja, cud się jawi,
Mam widzenie, co nas zbawi
　　Nie płacz dziécie... cyt!
Patrz na niebo! z krwi powodzi
Jakiż to blask tam wychodzi..?
　　Hosanna! — to świt!!

ANIOŁ-PAŃSKI.

Och! jasno, zielono — a wieczór tak cichy,
Na gniazdo ptak leci, kwiat stula kielichy,
I perlą się rosy świecące;
Tam wiejskie pachole pofleca z pagórka,
Tam dalej młyn szumi, tam bije przepiórka,
Tam skrzypią chruściele na łące,
Tam trzody ku wodzie hasają doliną,
I szemrze mącona rzeczułka,
I wstają mgły białe nad senną wioszczyną
I ozwał się dzwonek z kościółka:
Anioł-Pański....

O! dzwonek-skowronek lubuje w swym głosie,
To skacze po górach, to ślizga po rosie,
Powodzią się tonów rozlewa;
A oto woń kwiatów, mgła biała, szum rzeczny,
Gwar ptasząt, flet dziecka, obłoczek słoneczny —
To wszystko się modli i śpiewa.
I dusza w wszechświecie rada się rozwleka
I pełnią żywota pierś rośnie;
Wznioślejsza nad inne modlitwa człowieka,
Więc dalej do chóru najgłośniej:
Anioł-Pański ...

W cmętarnej tej ziemi jak wojsko na leżach
Pokładły się ojce na krwawych puklerzach,
Znużeni nie jedną wyprawą;
I ciche sny mają — bo czyści i święci
Ofiarną krew swoją chowają w pamięci
A ziemia pobrzmiewa ich sławą.
Więc gdy się rozejdzie wieczorna ta nuta
W ich grobach, co świat ten mogilą,
To pierś się podniesie zbroicą zakuta
A usta zamarłe odchylą:
Anioł-Pański....

Nie każdy w swym grobie spoczywa snem ciszy
I rzewną tę piosnkę nie każdy usłyszy —
Są tacy, co walcząc ze strachem
W okropnych męczarniach rzucają się w trumnach,
Bo marzą, jak niegdyś stojąc przy kolumnach
Z ojczystym zapadli się gmachem.
A głosy jęczące zgruchotanych dzieci
Aż dotąd piorunią im w uchu,
I żaden głos inny już ich nie doleci —
Więc za nich o zadzwoń mój duchu:
Anioł-Pański....

Gdy bole rodzinne aż do dna wypieśnię
A ciało pielgrzymką stargane boleśnie
Do ciszy trumiennej się skłoni,
Jak dzisiaj, tak kiedyś w mej śmierci godzinie
Niech fleci pachole, niech łąką mgła płynie,
Kościółek na pacierz niech dzwoni.
Ostatni błysk oka za słońcem wyprawię,
Ostatnią łzę stoczę ku ziemi,
Konając raz jeszcze kraj pobłogosławię
I usty wyjąkam blademi:
Anioł-Pański....

Na krwawym puklerzu niech złożą mnie w trumnie!
Wojenne me pieśni niech brzęczą w niej tłumnie
    Jak pszczoły w swym ulu spruchniałym;
Niech marzę, żem widział konając lud zbrojny,
Zwycięztwem promienny, powagą spokojny,
    Znów w gmachu zebrany wspaniałym.
Gdy hasłem pobożnem dzwon ozwie się z wieży
    Z dumania się mego ocucę,
I serce tak żywo jak dzisiaj uderzy,
    Jak dzisiaj pokornie zanucę:
        Anioł-Pański....

— 1847 —

SCENA Z ANTIGONY SOFOKLESA.

CHÓR.

STROFA.

Miłości, któż cię zwycięży!
Wszak równie twój grot się miecie
I na serce wielkich męży
I na ust dziewczęcych kwiecie.
Morza przelatasz i błonie
Kędy strumień brzęczy;
I syn nicestwa i ten, co swe skronie
W nieśmiertelne liście wieńczy,
Dla ciebie szaleństwem płonie.

ANTISTROFA.

Mężów dotąd nie zmazanych
Nawodzisz na szpetne zbrodnie;
Między braćmi krwią związanych
Zapalasz wojny pochodnię.

W blasku dziewiczego łona
W oczach nam rozkwita
Tęsknota wiecznem prawem uświęcona —
A zwycięzka Afrodyta
Z uśmiechem wzrusza ramiona.

Kogoż nie może poruszyć
Ten smutny widok? — a nie znam sposobu
By źródło mych łez ususzyć,
Gdy widzę jak Antigona
Do ciemnego spieszy grobu.

ANTIGONA

(otoczona niewolnikami wychodzi z pałacu.)

STROFA 1.

ANTIGONA.

O patrzcie na mnie ojcowie méj ziemi!
Na mnie stąpającą
Ostatnią drogą i oczy łzawemi
Na blask Heliosa patrzącą.
Ach raz ostatni! i nigdy już więcej!
Mnie żywą Hades wiedzie za ręce
Do Acheronu.
Ni mnie otoczą Hymenu wieńcem,
Ni pozazdroszczą mi w głośnej piosence
Łożnicy schronu.
Acheron jeden moim oblubieńcem.

CHÓR.

Czyż nie zstępujesz w promiennej chwale
W łoże wieczności — na cóż te żale?

Ty nie zmożona chorób skazitelnych
Długą boleścią — żelazem nie tknięta,
Idziesz do grobu żywa i święta
Jak nie szedł żaden z śmiertelnych.

ANTISTROFA 1.

ANTIGONA.

Wiem jak Frygijka, ta córka Tantala
U Sepilos szczytu
Konała niegdyś od ojczyzny zdala;
Teraz ją szata z granitu
Spowiła nakształt pnącego się ziela
Co się po skalném jéj czole rozściela;
I jak wieść głosi
Wieczny śnieg nad nią tając potokiem
Wypływa martwem, kamiennem jej okiem.
I mnie unosi
Podobnie onej Demon szybkim krokiem.

CHÓR.

Ona była bóstwem i z bogów zrodzona,
My śmiertelni wyszli ze śmiertelnych łona;
Chwałą jest dla nas z bóstwem wyniesionem
Przynajmniéj równać się — zgonem.

STROFA 2.

ANTIGONA.

Biada mi! ty drwisz ze mnie, ach, czemuż na bogi!
Urągacie mojéj głowie?
O Tebie drogi!
Wsławiony wozami,
Wy jego mężowie,

Wy sami!
I wy źródła Dircejskie,
Gaje święte, nieba niebieskie,
Za świadki stańcie mi razem,
Jak nieopłakana mych przyjaciół łzami,
Bezprawnym pchnięta rozkazem,
Do mego zbliżam się kresu!
O ja z nieszczęśliwych
Najnieszczęśliwsza! — ani ja do żywych
Należyć mogę, ani do Hadesu!

CHÓR.

O Antigono! rozmiotana w szale
Tyś tronem Diki zatrzęsła zuchwale;
Sama stanąwszy na odwagi szczycie,
Za winy ojców cierp dziécię.

ANTISTROFA 2.

ANTIGONA.

Najboleśniejszą strunę dotknąłeś wspomnieniem
O losie mego rodzica,
Co z całem plemieniem
W noc zbrodni zapada
Świetny jak błyskawica.
O, biada
Tobie matko kazirodna!
Ty, co płodem syna płodna
Puściłaś mnie ścieżką głogów.
Teraz patrz matko, jak w samym rozkwicie
Obarczone klątwą Bogów
Za tobą idzie — twe dziécię.
W złowrogiéj chwili

My, o mój bracie, krwią się połączyli,
Bo umierając unosisz me życie.

CHÓR.

Z dawnych to czasów jest rzeczą chwalebną
Czcić swych umarłych posługą pogrzebną;
Lecz kto żelaznej władzy gwałci wolę
Sam siebie wtrąca w niedolę.

ANTIGONA.

Ach bez przyjaciół, bez łez, bez kochanka
Chować się muszę w ziemię — sama jedna!
I nigdy w świetle różanem poranka
Już nie zabłysnę — ja biedna!
Nad moim losem żadna łza nie pada....
Biada mi, biada!

KREON

(wychodząc z pałacu.)

Tym łzom i skargom nie byłoby końca
Gdyby odwrócić mogły śmierci skrzydło.
Dalej z nią naprzód! — i jak rozkazałem
W nakrytym grobie zostawcie ją samą;
Mniejsza, czy ona zginie w pierwszej chwili,
Czy żyjąc tarzać w ciemnościach się będzie.
Śmierć tej dziewczyny nie zacięży duszy;
Czyści jesteśmy, — niech więc z ziemi wierzchu
Zstąpa czemprędzéj do zmierzchu.

SPOWIEDŹ SERCA.

(Podsłuchane.)

Smutna to chwila, ta wieczorna chwila!
Cicha modlitwa usta mi rozchyla,
Serce spowiedzią odzywa się z głębi;
Podobna jestem do nocnego kwiatu,
Co swoich marzeń nie objawia światu;
  Wzrok mój tak smętny — gołębi.

Z mętów dnia dusza się okołysała,
Znów ona teraz przezroczysta, biała
Jako toń morska po przebytej burzy.
Snem obciążona nim rzęsa opadnie
Patrzę w toń duszy — wszystko widzę na dnie
  Co, gdzie zgubiłam w podróży.

Tam leży ślubny stargany mój wieniec,
Tam łzami zdawna spłukany rumieniec
Barwę swą przeniósł w korali powoje,
Tam leżą szczątki z tej łodzi rozbicia,
Co mnie nieść miała przez ocean życia,
  Tam leżą perły — łzy moje!

A ja gdy kruchej chwyciłam się deski
To mnie mój anioł, mój promień niebieski
Wyniósł do brzegu pod bramę klasztorną;
Słońce w tem morzu chowało swą głowę
Razem z mem szczęściem — a dzwony spiżowe
Grały modlitwę nieszporną.

Lecz mi nie dali wypocząć po trudzie
I znów do świata zepchnęli mnie ludzie,
Świat mnie otoczył samolubnym krzykiem;
Jak zwiędła palma stanęłam na puszczy
Bez kropli rosy — bo nikt z całej tłuszczy
Nie mówił moim językiem.

Od tych pamiątek nim dusza odwyknie,
Czasem jak dziécię jeszcze we śnie krzyknie,
Chociaż już boleść na czole się starła;
Nieraz się oko weselem rozżarzy,
Nieraz i uśmiech przeleci po twarzy —
Ale ja sercem umarła!

Wszakże ja Boże, nie skarzę się Tobie,
Że mi tak wiosna przelata w żałobie,
Że mi zdeptano moją wiarę młodą,
Ni ja losowi chcę złorzeczyć kłamnie —
Wszakże kochałam! to już dosyć dla mnie —
Miłość jest w sobie nadgrodą!

Choć pamięć o Nim pamięci nie warta,
Chociaż ta dusza przez niego rozdarta
Dawno niewdzięczną pogardza istotą,
Jednak ja Boże, wyznać się nie wstydzę,
Że w tej miłości moją chwałę widzę —
Miłość jest najmniej pół-cnotą!

Niedbam ja Panie, że w tym wielkim tłumie
Nikt mej miłości, nikt mnie nie zrozumie,
Może ją nawet wyśmieją szkielety;
Że oprócz Ciebie, co znasz ptaków loty,
Chyba mnie pojmie mój anioł-stróż złoty
I bratnia dusza poety.

CZARNY SZAL.

(Na temat Puszkina.)

I wy mnie pytacie z pijanym hałasem
Co znaczy ten rdzawy mój kindżał za pasem?
Co znaczy, żem czarnym obwiązał się szalem,
Gdzie zdawna krwi krople zastygły koralem?

I wy mnie pytacie? Ha, dobrze Serbowie!
Lecz wprzódy niech wino zaszumi w mej głowie,
Niech pieśni lirników do reszty mnie zgłuszą,
Bym treści słów moich nie pojął sam duszą.

Więc żywo lirniku po strunach puść palce,
Z pełnemi kielichy przystąpcie służalce,
Niech jeden mi głowę podeprze wezgłowiem —
A teraz słuchajcie Serbowie, co powiem.

I pieni się puhar i lira już gędzie —
Ach, dotąd ja widzę jej piersi łabędzie,
I dotąd mi pachnie zwój czarnych warkoczy
Pod którym gwiazdami świeciły jej oczy!

Na zamku ją miałem — a byłem ja młody
I lgnąłem tak do niej jak czajka do wody,
I milszą mi była od pamięci czynu,
Żem sztandar zatykał na murach Semlinu.

I milszą mi była niż koń mój cisawy,
Towarzysz wyprawy i wspólnik mej sławy,
I milszą mi była .... gdzież puhar mój złoty?
Czy wina zabrakło? — Przez piekło i grzmoty!

Trzy beczki z piwnicy wytoczcie hajducy ....
O biali śpiewacy! Bojana prawnucy!
Dla czegóż pieśń wasza z ust klątwę wystrasza —?
Ach! ona tem była, czem dla mnie pieśń wasza!

I miała w swem oku ta dziewica grecka
Powagę królowéj i niewinność dziecka,
Toż przy niéj wszelakiéj pozbyłem się pychy
I byłem jak dziecko pobożny i cichy.

I próżno pod oknem rzał koń mój bojowy,
Jam z białej jej piersi nie podniósł już głowy;
I próżno miecz do mnie migotał ze ściany,
Jam dłoni nie zerwał od szyi kochanéj.

Bo ja ją tęczowem otoczyłem kołem
A ona mi była mym stróżem-aniołem;
Bo ja ją z haremu uniosłem pod burką
A ona mi była .... ha, była jaszczurką!

I dotąd po szyi, po piersi pełzała
Dopokąd mi serca nie wygryzła z ciała,
Więc z drugim ... ha, piekło! — krew grać mi zaczyna —
Kindżała i wroga! — kindżała — lub wina!

Raz sprosił na ucztę mnie towarzysz broni
Na ucztę weselną — więc jadę w sto koni,
A w zamku, co hardo Dunajem potrąca,
Zostało sług kilku i Ona — płacząca.

I Ona, co czarnym osłonięta szalem
Na baszcie się wiała tęsknotą i żalem
Jak sztandar żałobny nad miastem wymarłem....
Więc skryłem oblicze i konia poparłem.

Lecz gdym się z bratami za stołem rozłożył,
To we mnie na nowo burzliwy duch ożył;
Minęło dni wiele — przy śpiewie i winie
Jam marzył o bojach a mniej o dziewczynie.

Do nocy nasz okrzyk rozlegał się echem —
W tem stary mój sługa nadleciał z pośpiechem
I szepnął mi słowo i jedno i drugie...
Jak wściekły skoczyłem i zabiłem sługę!..

I zbiegłem w podwórzec i dopadłem konia
Świat mglił się przedemną — a lasy i błonia
Migały w mem oku zjawiskiem znikomem —
Nim gwiazdy pobladły — stanąłem przed domem.

Kolanem i pięścią wybiłem podwoje —
Widzicie! — tam w kącie — tam było ich dwoje,
Tam było ich dwoje splecionych uściskiem....
Ha! jam ich rozerwał kindżała połyskiem!

I zdarłem z jej czoła żałobną zasłonę
I milcząc ścierałem nią ostrze zbroczone —
I przeszła noc krwawa — gdy dawnym zwyczajem
Świt spłonął — dwa trupy płynęły Dunajem.

Więc wy mnie pytacie z pijanym hałasem
Co znaczy ten rdzawy mój kindżał za pasem?
Co znaczy, żem czarnym obwiązał się szalem,
Gdzie zdawna krwi krople zastygły koralem?

Hej wina! a chyżo! — niech pamięć złowroga
Zatonie w puharze.... Lecz cóż to? — Na Boga!
O, patrzcie druhowie!.. u tamtych podwoi...
Ktoś stanął... czy posąg?... Nie!.. Ona tam stoi!

To Ona... Haido!... odsłania swe łono
I wabi ku sobie... ach, w oczach czerwono!
Krew falą się wznosi... jak w onej tam nocy —
Zaczekaj... już idę... druhowie... pomocy!!

W ALBUM H. S.

O Polko, Polko! na co tam pieśni
Kiedy po gromie uderza grom,
Na co tych gości, którzy niewcześni
Z pochodnią idą w płonący dom.

O Polko, Polko! na cóż mam tobie
W księdze pamięci me imię ryć,
Gdy bez pomników ci leżą w grobie,
Co tem już byli, czembym chciał być!

DO AUTORA KORDJANA. *)

O tak! baranek, co wybiegł z rana
Na chłodne rosy w dolinie,
Patrzy czy z nieba jego Kochana
Z blaskiem nie spłynie.

Perlą się rosy — zleciało słonko,
A jego Święta nie zlata,
Li mgłą słoneczną zwisła nad łąką
Biała jej szata.

Ona upięta w tęczy opalu,
Błękitną więziona banią
Tęskni za ziemią, — toż i on w żalu
Wciąż płacze za nią.

---

*) Odpowiedź na wiersz pisany do autora Skarg Jeremiego, a zaczynający się:

Ojczyzna, twoja święta kochanka
Chodzi po łąkach Pani słoneczna,
Ty idziesz za nią jak duch baranka
I wołasz: Wieczna!

Płacze i czeka — tymczasem nogi
Wikłają mu się w pokosach,
I konający legł pełen trwogi
Na zimnych rosach.

Zamglonem okiem kiedy baranek
Żegnał się z kwieciem na błoniu,
Ujrzał, że pasterz, jego kochanek
Stał na ustroniu.

A więc czołgając się przez murawę
U stóp się jego położył,
I oko podniósł ku niemu łzawe,
I ożył!

On pasterz z niebem sojusz odnawiał,
Gwieżdżąc się myślą na szlaku,
On, co już nieraz z Panem rozmawiał
W ognistym krzaku.

On taki wielki! — a gdy obaczył
Płacz cierpiącego jagnięcia,
Do jego skargi zniżyć się raczył
Z błękituwzięcia.

Bo on zrozumiał życia zawiłość,
I choć go ducha wynosi dzielność,
On rzekł duchowi: przez niższych miłość
Płyń w nieśmiertelność!

Paryż.

— 1848 —

PRZY POMNIKU KS. JÓZEFA PONIATOWSKIEGO W LIPSKU.

«Płyną Elstery wody, płyną zawsze,
A rany Twojej dotąd nie obmyły,
Fale jej coraz mętniejsze i krwawsze.»
O, precz ze skargą! z pod Jego mogiły
Bojowej trąby dosłyszałem dźwięki.

Płomiennej ziemi garść wezmę do ręki!
Jutro gdy rzucę ją w polskie powietrze,
Popiołem spadnie na pokutne głowy,
A z Faryzeów fałszywy blask zetrze,
A wrogów spali jak dech Samunowy.

O jasny wodzu żórawiego stada!
Słoneczny hufiec Twój odleciał mgłami,
Dziś nowe gniazdo do lotu rozkłada
Skrzydła niewprawne — więc leć Ty przed nami,
Orle Olimpu! z piorunami w szponach.

LA RÉPUBLIQUE!

(Wiersz napisany przez F. Freiligratha na pierwszą wiadomość o rewolucyi Lutowej w Paryżu.)

1.

La république! La république!
Hej, już nam po żałobach!
Na szabli mig stary tron znikł —
Toć był to bój! — La république!
A wszystko we trzech dobach.
La république! La république!
Vive la république!

2.

La république! La république!
Sto gromów wpadło w ciszę;
Ramienia rzut, a błysk, a krzyk,
I słowo słów: La république!
Tak Pan Bóg dzieje pisze.
La république! La république!
Vive la république!

3.

La république! La république!
Tam za nią krew już leją;
Przez jęk i szczęk i harmat ryk
Zdobyty wał! — La république!
Sztandary nasze wieją.
La république! La république!
Vive la république!

4.

La république! La république!
Hej wiara z dolnych kątów,
Nam z wałów grzmią: do kós, do pik,
A w szczerby baszt! — La république!
Przy świetle naszych lontów!
La république! La république!
Vive la république!

5.

La république! La république!
Ho! bracia tam na górze,
Za wami w ślad — La république!
Na mostach już tętni nasz szyk,
Drabiny już przy murze.
La république! La république!
Vive la république!

6.

La république! La république!
Kto szemrze o rozdwoju?
Co? ludów gniew? — La république!
Gdy wszystkim z rąk opada łyk
Wszyscy jednego kroju.
La république! La république!
Vive la république!

7.

Od dzisiaj więc — la république!
Obozów dwa, dwie straży —
Tu zastęp nasz, co w słońce wnikł,
Niewolnik tam, co w jarzmo wzwykł —
Niech pada co się waży!
La république! La république!
Vive la république!

8.

Więc w niebogłos: La république!
Kres bojom i rozdroży!
A liga w krąg, szczęście z tych lig
I miłość wszem — la république!
I rozkwit w łasce bożéj!
La république! La république!
Vive la république!

— 1849 —

U BRZEGU.

Tobie ja śpiewam gołębico moja,
Coś mi oliwną gałązkę przyniosła!
Już srebrnem swiatłem znęca mnie ostoja;
Więc w grzmiące morze rzucam stare wiosła
Za tobą spiesząc gołębico moja!

Pod bramę z tęczy wchodzę — taki jasny!
Pogodzonemu ze światem i z Bogiem
Gdyby się jeszcze rozścielił kraj własny,
Jak przed kościoła uklęknąłbym progiem
Taki pogodny, cichy — taki jasny!

Drogą niewoli zapomniałem chodzić!
Bo gdy mnie z losem jątrzyły poswarki
Chcąc mego ducha z więzów oswobodzić,
Sród burz skoczyłem do szalonej arki,
A w nieba lecąc — zapomniałem chodzić.

Z długich obłąkań gdym wracał do brzegu
Pytałem ziemi, co szarzała bliska:
«Piastową chatę znajdęż na noclegu?
«Piastowe serce znajdęż u ogniska?
I wszystkom znalazł przy tobie — u brzegu.

Pójdziemy razem, pójdziemy we dwoje,
Przez mgły wiszarów, przez dolin kobierce,
A w chwilach trwogi ja cię uspokoję,
W chwilach spokoju rozdźwięczę ci serce,
A cierpiąc — cierpieć będziemy — we dwoje!

Gdy śpiewać będę, ty módl się za braćmi;
Przeczuciem żyją dusze swietlne, młode,
A dusza moja nigdy się nie zaćmi,
Bo patrzy w Boga, w jutrznię i w pogodę
I śpiewa ufna: Módlmy się za braćmi!

*

Tak więc stęskniony, od ciebie daleki,
Gdy dwa dni nudzę — dwa dni? ach, dwa wieki!
Gdy mnie samotność otoczyła cieśnią,
A ty przez gwiazdy patrzysz na mnie smutnie,
Ja w twoje imię zakląwszy mą lutnię
Myślę o tobie myślą serca: Pieśnią! —

— 1850 —

NIE WIŃ MNIE.

Dziécie moje! białe, jasne,
Ty mnie nie wiń, nie skarz na mnie,
Że ja w smutku czasem gasnę
Lub uśmiechem błyskam kłamnie.

Ze mnie nieraz z twych uścisków
Wyrwą duchy, co gromadą,
Pełne chwały, pełne błysków,
Gdzieś na złotych chmurach jadą.

A jeźli mi od łańcucha
Łaską rzucą dźwięków roje,
To me serce drzy i słucha...
Ty mnie nie wiń dziécie moje!

Ty mnie nie wiń, że ja chmurny
Lubię kryć się do popielnic,
I z ojcowej, smętnej urny
Jakby z baszty, jak ze strzelnic

W grozie patrzę na te pola,
Gdzie pogańska wre swawola.

A gdy ujrzę, że te hordy
Nie na święte idą kordy,
Ale skore do odwrotu
Zdala strutą strzałą warczą:
To już twego mi namiotu
Białe płótna niewystarczą;
Bo chcę bronią być nie tarczą,
Choćbym ważył szczęście własne....
Ty mnie nie wiń dziécie jasne!

OJCOWSKI PSALM.

(Po urodzeniu się Kordjanka.)

Ozłocił Pan wspaniale moje ściany liche,
Bo zesłał mi dzieciątko z nieba, światło ciche;
Jedno dziécie! a weszło z niém takie wesele,
Jak kiedy w dom szlachecki zjedzie gości wiele,
I napełnią go wrzawą uczciwą, świąteczną,
A sami się zespolą miłością serdeczną,
I tak się rozkochają w tém braterskiem gnieździe,
Że starce jak pisklęta kwilą przy rozjeździe.

Błogosławieństwem dom mój nawiedził widomem
Błyszczący anioł, co rzekł: Pokój z twoim domem!
I zaledwie głos przebrzmiał, to niska ta chata
Swą strzechę jak ramiona dziękczynne rozplata,
I podniósłszy ją w górę swą małość przyczynia,
Aż stała się modlitwą, wielka — jak świątynia.

I zaraz w niej przybrało wszystko pozór swięty,
Radosnem przemówiły słowem nieme sprzęty,
Wszystkie skazy ponikły, kąty wyjaśniały,
I cedrami zapachły dębowe powały,
Każde usta dobroci pełne, myśli bielsze,
A piosenki czeladzi co wieczór weselsze.

I od kiedy w niej mieszka niewiniątko boże
Pierwsze blaski rzucają na tę chatę zorze,
Czeremcha więcej kwiatu na jej dachy sypie,
Słodka muzyka pszczółek ciągle gra na lipie,
Gołębie lubią teraz na podwórku siadać
I swe skrzydła tęczowe do słońca rozkładać,
A jaskółki przez okno wglądają ciekawe....
A ja chodzę jak senny, wielbię Pańską sprawę
I upajam się kwiecia i gołębi bielą,
I tą z lipy na lipę lecącą kapelą,
I tém swiatłem ścian moich i wonnością pował....
O! jak ty Panie ducha mego rozradował!!

— 1851 —

DO JENNY N.

W twej piersi żyje wieczny, czysty płomień,
Toż głos twój świeci jak słoneczny promień,
Sferyczną nutą w naszem uchu dźwięczy
A w duszy błyska kolorami tęczy.

I głos twój nieraz szumi jak kaskada,
Dzwoni jak zbroja gdy na nią miecz spada,
To słowiczeje gdzieś we mgłach po rosie....
Ale najczęściej drzą łzy w twoim głosie.

Więc po tym ogniu, co twe serce mieści,
I po tej twórczej, pieśniarskiej boleści,
I po tym jęku, co w świat bije ostro,
My obcy mową — zowiemy cię siostrą.

I błogosławim każdą twoją drogę,
I jedną tylko dajemy przestrogę,
Abyś nas nadto nie rwała do nieba,
Bo nam na ziemi żyć i walczyć trzeba.

PRZEZ OGIEŃ W BLASK!

Jeźli widzicie, że chłopiec - sokole
Wichrzy się, burzy, sam nie wié dla czego,
I w kruche serce wielkie wmawia bole,
I na świat patrzy jak na coś obcego:
O! wy nie mówcie, że on chwile młode,
W których myśl jego rozwija się w brzask,
W marzeniach trawiąc, czyni sobie szkodę...
— On idzie przez ogień w blask!

Jeźli widzicie, że naród mniej winny
Od innych, walczy z przemocą i z nędzą,
A miłosierny zawsze i gościnny
Choć jego dzieci od obcych wrót pędzą:
O! wy nie mówcie, że on w grób zapada
Nie godny oka bożego i łask,
On Chrystusowi rośnie na sąsiada....
— On idzie przez ogień w blask!

— 1852 —

DO MOJEJ MYŚLI.

O myśli moja twórcza! gdzie iść tobie w drogę?
Ojczyzna cię zaklęła na zawsze w swe koło,
Gdzie stąpisz groby tylko spotykasz i groby,
Albo serca za życia zmarłe lub rozdarte.
Nie wolno tobie spocząć jakbyś chciała rada
W rzeźwiącym chłodzie cieni, co od mogił pada,
By tam usta i ucho do ziemi przykleić
I z ojcami rozmową miłą się weselić;
Niewolno tobie marzyć zawsze o ich sławie
Kiedy ludzie żyjący z losem walczą krwawie.
Ile razy wędrówką śród żywych strudzona
Na grobach spoczywając przebywasz za długo,
Mój duch-sędzia wnet woła za tobą: gdzie ona?
I znowu ciebie czeka ta droga pokutna,
I znowu iść nią musisz choć tęskna, choć smutna.

Naprzód! naprzód! bez folgi, mój wieczny tułaczu!
Gdzie słychać dźwięk orężny, gdzie w łez cichych płaczu
Niewiasty z sierotami patrzą w bitew pole,
Lub pod murem więziennym siedzą i oczyma

Podnoszą się ku kratom jak wiotkie powoje;
Gdzie bracia w rozproszeniu po wszech ziemi krańcach
W tęsknocie mrą lub giną na nieznanych szańcach:
Tam tobie iść i walczyć i cierpieć i śpiewać!

Gdybyś dzisiaj przed oczy synów, co w arenie
Dla stwierdzenia swej wiary, a nie dla zwycięztwa,
Rzucają się na lwice bez broni i nago:
Postawiła ich ojców żelazne posągi
W pancerzach i na mieczach opartych z powagą,
I krzyknęła: Patrzajcie! jacy piękni, wielcy! —
Toby ich przeszył okrzyk ten jak urąganie
I nie jeden z goryczą, co się w uśmiech krzywi,
Odparłby: My nie mniejsi, lecz nie tak szczęśliwi!

O myśli moja twórcza! kiedy się przegoją
Rany świeże, a z mętów tak łzy się ostoją,
Że będą płynąć czyste jak wilżąca rosa,
Gdy dusze choć w cierpieniu zmienią się w niebiosa
Pogodne — wtenczas pójdę z tobą między ojce,
Podziemny swiat przekształcę na jasne ogrojce,
Rozpatrzysz się w postaciach, opieśnisz do woli
„Brzmiącą sławę stuleci“ — dzisiaj tyś w niewoli!
Napróżno się zanurzasz w omdlenie i trwogę:
W ślad za dźwigającemi krzyże — w drogę! w drogę!

ZAWIANA CHATA.

Chato polskiego chłopa zasypana śniegiem!
Kiedy nad tobą cichą nocne wichry wyją,
Podobnaś do mogiły; kto zgadnie, że żyją
W tobie ludzie, dla bezsnu wstający do pracy?
Ledwie północ poddaszni obwołają ptacy,
Już się budzisz, czerwono już świécisz łuczywem,
Kobiety pieśni tęskne nucą nad przędziwem,
Razem z nicią zwijają swój żal na wrzeciona;
Gospodarz nudzi sobą, wyciąga ramiona,
To majaczy przy ścianach, to siada na ławie,
Często za próg wychodzi wyglądając słońca:
W niebie i w myśli jego noc a noc bez końca!
Nad łożem nie migoce mu szlachecka szabla
Dzienną złocąca troskę wspomnieniem o sławie...
A spłonie świt! — weselszy chwyta za łopatę,
W świat, w jasność, w przyszłość lepszą wygrzebuje chatę!....
Z niej ku słońcu ofiarne ciągną dymy Abla.

PO KLĘSCE.

(Obrazek.)

Zgarnął bezładne myśli i z konia zeskoczył;
Lecz zawiodły go nogi, zachwiał się, zatoczył.
Zanadto znużył ciało i duszę tej nocy,
By lekko nieść oboje; uczuł się bez mocy —
I choć hardość tajonych bolów nim wypręża,
Słaniał się; krokiem dziecka chorego, nie męża,
Szedł po gankowych schodach do sklepionej sieni,
Tam go echo żałośnym powitało tonem,
I ujrzał w ciemni kilka świecących promieni,
Kształtem strun, w niewidomej harfie naciągnionych;
Blaski biły szczeliną z podwoi przymknionych,
Otworzył je — i czołem nocnem, zachmurzonem,
Jasność komnaty zmącił, potem wsparł o ścianę
Serce wzdęte, bijące, żółcią rozpłakane,
I z pod oka w głąb patrzał: widok był surowy.

Pośrodku sali, którą zdobiły makaty,
Gdzieś z tureckich namiotów zerwane przed laty,
A z ich tła spłowiałego rzędem wystawały,
To z ciemnych ram poważne antenatów głowy,
To rynsztunki wojenne, kolczugi, przyłbice,

Oręże różnej miary, instrumenta chwały,
To wianki zbóż, trofea bogobojne, wiejskie:
Rozkroczył się stół duży; dwie jarzące świéce,
O długich knotach, skąpem światłem opływały
Na rozwartym foliale «księgi machabejskie.»
Obok staruszek w wielkiem, poręczowem krześle
Spał, ręce zaplecione trzymając u łona;
Włos gołębiej białości spływał mu w ramiona,
Ach, a jedną mu nogę dorobili cieśle,
Bo z drewna była; jego przymkniona źrenica
Nieruchomie patrzyła w młodego szlachcica,
A promień magnetyczny tak w nim działał skrycie,
Że duchem poczuł drogiej osoby przybycie.
Wraz zatrząsł się staruszek, ręce jako rudle
Zaczęły bić powietrze, noga drżała w szczudle,
Piersi, szybkim oddechom niemogące sprostać,
Zachrypiały; z morza snów próżno chciał się dostać
Na ląd twardy, na jawę; mocno go sen trzymał,
A on walczył sam z sobą, szamotał się, zżymał,
Aż na wybladłem czole krople wystąpiły
Zimnego potu, ręce opadły bez siły,
I tylko jęczał głucho, jak człowiek tonący;
Lecz już go przelękniony młodzieniec w pół imał.
— Panie rotmistrzu, wołał, Boże wszechmogący!
Drogi mój opiekunie, o zbudź się, zbudź, proszę!
I zbudził się staruszek, lecz nie na rozkosze.

Zwolna oczy otwierał, głęboko oddychał,
Resztę mar niespłoszonych rękami odpychał,
Półsennie ciągnął głosem:

— Tyżeś to Stefanku?
Wiedziałem, że tu jesteś, cóż serce-kochanku?
Czy pomszczone już krzywdy ludu na Antjochu?...

Świątynie splugawione czy powstały z prochu?
Wszak nie w liczbie zwycięztwo, z nieba idzie siła —
Starteż hufce oręźne? wielkaż ich mogiła?
Rozwielmożył się w pysze nieprzyjaciel chytry,
Aż Pan gniewem rozgorzał — niech zagrają cytry!
Lud mój biodra przepasa, stary zakon święci!

I ściągnął ręką w czoło, w splątanej pamięci
Niby wątku szukając. Młodzieniec go słucha
Namiętny, wrzący cały, wewnątrz ogniem bucha,
Nieludzko zatrząsł śniącym:
— Zbudź się, zbudź się starcze!
Nie marz, kiedy ja cierpię! zdejm ze ściany tarczę,
I zakryj nią oblicze jak wojownik grecki,
Bo oto nas dotyka grotem los zdradziecki,
To niechaj twej boleści na twarzy nie widzi,
Ani ten Bóg wesoły, ani świat, co szydzi!!

— 1853 —

KANONIZACJA ŚW. JACKA.

1.

Rzekł Ojciec święty: «Rycerzu mój dobry,
Narodzie polski! wytrwały i chrobry,
Do twoich bitew za Chrystusa Pana
Daję ci jeszcze jednego hetmana —
Kość z kości twojej. Polonio! Polonio!
Jak mszalne dzwony twoje miecze dzwonią,
Najbezpieczniejszaś ty twierdza!
Żywot twój pełen ofiary a cichy
W morze miłości spływa. Tu pychy
I szumu patrzą — na falach krwi płyną,
Rwą się przez skały, wzgardzili doliną —
Ach, tylko w przepaść spada katarakta!»
Tak Ojciec święty żalił się — i akta
Kanonizacji potwierdza.
Powstali z klęczek Miński wojewoda
I pan Tworowski z Buczacza, krew młoda;
A gdy ich Papież przyciskał do łona
Rzekł drugi: «Twoja potrójna korona,

O Ojcze święty, nie spadnie ci z głowy
Pokąd za tobą stoi ród Piastowy.
Skiń — a twą skargę gdy rozniosę wszędzie,
Wnet tobie Polska na odsiecz przybędzie
I ja i moja załoga buczacka
    Na honor świętego Jacka!»
Słuchał go słodki i uśmiechający
W końcu rzekł papież: «Synu mój gorący!
Źle mnie pojąłeś, nic mi nie zagraża,
Żali się tylko mój głos, nie oskarza.
Przy twojej jasnej pokorą Ojczyźnie
Pogasły inne narody jej bliźnie,
Ztąd słowo żalu, bo ich widzę zgubę —
Ty się strwożyłeś o mnie dziecko lube?! —
Błogosławieństwo tobie! — a w niedzielę
    Ujrzę was w Piotra kościele.»

2.

Dumał Tworowski: «Rzuciwszy herezję,
Czuję że anioł do nieba mię wiezie.
W dźwiękach modlitwy i w kadzideł dymie
Tonie mi dusza — dobrze mi w tym Rzymie!
Aż żal odjechać; ten staruszek biały
Synowskie we mnie obudził zapały,
    Chciałbym mu służyć jak Panu
Do samej śmierci; więc tym głowę biédzę,
Czem go przekonam, że go tak nawidzę.
Gdy dłużej myślę myśli mam zawilsze....
Pójdę! i dam mu to, co mi najmilsze.»
I żeby trudnej kwestji nie odnowił
Zebrał się szybko, wziął co postanowił
    I poszedł do Watykanu.
«Mój Ojcze święty,» mówił do papieża,

« Niech ten dar mały tobie nie ubliża;
Wszak nieraz dawniej brano za ofiarę
Od biednych ludzi gołąbeczków parę.
Przyjmże łaskawie, jak ci daję wiernie,
Tę złotą klatkę barwioną misternie;
Pełno w niej ptasząt — z Polski one rodem;
Od jutrzni cudnie pieją korowodem.
By mi tu w szkołach słodkie niosły słowa,
        Przysłała je matka wdowa.
A ja je tobie tu zostawiam w Rzymie,
Aby ci niosły mej ojczyzny imię.»
A na to papież: «Późne twoje chęci —
Ciebie i kraj twój nie stracę z pamięci —
Biedne sieroty, jak patrzą przez siatkę!
I one także mają czułą matkę.
Gdy ja się cieszę, niechże wszystkich cieszę,
Ja twoją klatkę i bez nich zawieszę —
Złote więzienie otwieram z nienacka:
Bądźcie wolnemi w cześć świętego Jacka!
Głoście ją lecąc przez kraje nieznane
        Wolnością udarowane!»

— 1855 —

NIEBEZPIECZNA.

Ange par l'amour, démon par la fantaisie, enfant par la foi, vieillard par l'expérience, homme par le cerveau, femme par le coeur, géante par l'esperance, mère par la douleur et poëte par ses rêves.

Balzac.

(dedykując Polce Modestę Mignon.)

— Więc ta róża, ta biała, już należy do mnie?
— O nie jeszcze, mój panie.
— Chociaż tańczę skromnie,
Cuda nieraz się dzieją w tej szalonej polce,
Oto w piersi zostały mi tej róży kolce —
Za karą idzie łaska, kwiat idzie za kolcem,
Jeźli niechcą iść w parze...
— Fredro z Bohomolcem!
— Którą rolę grasz pani najlepiéj?
— Złej żony;
Bo słucham, słucham rada, co ptak rozpieszczony
Świegoce, jak świegotać już ma we zwyczaju;
Którym ptakiem pan dzisiaj?
— Dziś....ja słowik w maju!

— Spojrzyj pan, żona pańska patrzy na nas zdala,
Ztąd słyszę jak rozmowy naszej niepochwala
Jej oko choć milczące.
— Nic w niej złego zgoła.
— Cień grzechu już anioła smuci — masz anioła.
— A jam człowiek i grzeszny.
— Widzę ja to, widzę....
Wstydź się mości poeto, wstydź się...
— Już się wstydzę...
A mąż pani nie patrzy?
— Tam gra preferansa.
— Mając żonę tak piękną... Boże! jaka szansa!
Co pani robisz na wsi?
— Co? ja gospodyni!
Hoduję ananasy i myślę o dyni.
Wszędzie, wszędzie mnie pełno, cały dzień się krzątam,
Przeróżnemi rzeczami naraz się zaprzątam:
Smażę soki, kompoty, zlewam je do słojów,
Raz na tydzień w krowiarni pilnuję wydojów,
A czasem się ponudzę, a czasem zasmucę....
Wtedy zwykle z kucharzem o masło się kłócę;
Ja swoje a on swoje — okrutnie uparty....
A gdy słota, a mąż mój wyjedzie na karty,
Albo dalsze z nienacka lustruje folwarki,
To coś dłubię igiełką; widzisz pan te szlarki?
Te, na rękach — cóż ładne? mojej są roboty....
Także z memi kotkami różne stroję psoty,
Białe jak śnieg kocięta... Ja bardzo szczęśliwa!
Żeby pan moje lniane zobaczył przędziwa,
Cienkie....jak włosy pana — ach! a moje kwiaty,
To moje ideały, to tęczowe światy,
Wszystkie a wszystkie własną pielęgnuję dłonią,
Do piekła zaprowadzić można mnie ich wonią,
Zobaczysz pan, zobaczysz, ja tak kwiaty lubię,

Umrę kiedyś z ich woni, kwiatami się zgubię...
— Byle nie białą różą....
Ot, tańcujmy lepiej.

*

— Choć oddychać nie mogę.... ten taniec mnie krzepi....
Jak pan tańczysz ochoczo.... jakby nie poeta....
— Namiętnie lubię taniec..
— To wielka zaleta!....
Patrz pan! młodsi od pana ledwie się ruszają,
Studenci, dyplomatów poważnych udają....
Że też pan niepilnujesz tak swojej powagi....
— Duch mój jak posąg grecki poważny choć nagi.
— Jakże to uroczyście! jak w jakim dramacie —
— A to tylko w komedji —
— Bośmy na herbacie.
Żona pana zazdrośna?
— Zazdrośna, zanadto.
— Zazdrości, co z miłości, nigdy nie jest nadto.
Cobym ja za to dała, by mąż, co mnie kocha
Bardzo, bardzo — zazdrosnym był dla mnie choć trocha;
Gdzie tam! ani mu w głowie; ciągle gdzieś za domem —
Nie doróżką to konno, nie konno, to promem;
A w domu? to nudnemi rzeczami zajęty,
Już się nawet niekłócę lubię spokój święty —
W lecie: woły na paszy a próżne stodoły,
W zimie: pełne stodoły, na gorzelni woły,
Ot i cała rozmowa — a ztąd dla mnie smutki;
Czy wiesz pan, że złe z tego wynikają skutki;
Z białemi żabotami młodego markiza
Zaczęłam bałamucić... no, tak, tak... narcyza...
Zwykle koło sadzawki siedziałam na ławce,
On u nóg moich klęczał, — ale ku sadzawce,

Zamiast patrzeć mi w oczy, raz wraz zérkał zyzem,
I zakochanym w sobie zbrzydziłam narcyzem.
Znów o mało nie wpadłam w romans z tulipanem,
Zajął mnie swa purpurą i wysokim stanem,
Cóż, kiedy mój królewic w herbie nosił ciołka,
A ja ciołków nielubię; więc ja do fijołka,
Co pachnie jak poezya, a oczy ma skromne,
Niby trochę zamglone, niby nieprzytomne,
I tak sobie romansik prowadzim na piękne....
Czego pan na mnie patrzysz? doprawdy się zlęknę,
Czy co złego mówiłam? myśl się nie natęża
Tańcząc polkę....ja bardzo kocham mego męża;
Przyjedź pan kiedy do nas.
— Jeźli mnie zaślepi
Miłość róży — przyjadę.
— Ot, tańcujmy lepiej.

*

— Już dosyć!
— Lećmy dalej!
— Siądźmy na tej sofce...
— Tam zwykle taniec wiedzie.
— Czasem na manowce —
Nieuważał pan w tańcu, jak mi mocno bije
Serce?
— Kto sercem żyje, ten dwa razy żyje.
— Nie zawsze to iść dobrze za uczuciem szczerem..
— Często chwila jest liczbą, reszta życia zerem.
— Jak to smutno powracać do domu po balu
Z głową pełną chaosu....pan nieczujesz żalu?
— Ja wrócę do mych dzieci.
— Ach, ja niemam dzieci!!
Nie oglądnie się duch mój gdy z ziemi odleci —
Ja niewiem co bezsenne nad kołyską noce!

Serce moje bezludne, a życie sieroce,
I żadna nie zostanie tu po mnie pamiątka.
O! czemuż choć jednego ja niemam dzieciątka!
Wtenczas choćby po cierniach chodziłabym gładko,
Ta już jest pół-aniołem, którą nazwą matką,
Jabym była aniołem, cnotliwą jak święta....
Cóż robić! z biedy kochać już muszę kocięta
Kiedy niemam nikogo. Stworzeńka dowcipne!
Czasem zła jestem, ach, zła... więc kotka uszczypnę
I w dobry wpadam humor, tak to się naszczurzy.
Nieuważał pan nigdy jak się kotek chmurzy?
O! to bardzo zabawne. Jednego mam kotka
Cudo! taki rozumny, ledwie nie szczebiotka,
Pojęciem jak natchniony, a jako myśl wartki;
Kiedy czytam na rozkaz odwraca mi kartki....
Czytałeś pan Lirenkę? jakże pisze ślicznie
Lenartowicz! — tak jakoś miodno, balsamicznie,
Jakby siedział pod lipą, a do jego skrzypki
Spływały brzęki pszczółek, woń kwiatu, miód lipki;
A przytem takie nieraz wydobywa tony
Jakby grały kościelne w całej Polsce dzwony.
Ja na jego Lirence co wieczór się modlę....
Mój mąż czytać nielubi, on ciągle na siodle —
Mówi, że dla próżniaków nie zły wynalazek;
Ślepemu nie przedstawi natury obrazek!
No, kiedy pan przyjedziesz?
                    — Z różą czy po różę?
— Na pogodne me czoło sprowadzasz pan burzę,
Burzę ....jak mamę kocham, pono się odczepi....
Weź pan ją.
            — Podziękuję.
                    — Ot, tańcujmy lepiej....
O!...muzyka ustała....pięknie! w samą porę!
Kiedy już swoje palce wysunęłam skore —

Tak bywa i fantazjom moim, jeźli szpetnie
Nieznośna rzeczywistość w pół drogi je przetnie....
Schowaj Pan! żona pana ot ku nam się zbliża.
Mąż pani, to znajomość moja aż z Paryża,
Gdzie pono z nas obojga niezrobiono ryżu,
I mówiliśmy właśnie wiele o Paryżu....
O! jakże ja szczęśliwa, żem poznała panią,
Jak za snem pięknym zdawna już tęskniłam za nią,
Jak gwiazdy jej szukałam — tak słodkie zjawisko
Czy radość mi przyniesie?... mieszkamy tak blisko.....

*

Zbudziłem się — nademną moja bladolica
Jak lilja nad zmąconem zródłem się kołysze:
— O czem śniłeś? twarz twoja dotąd się zachwyca
Rozkosznem przypomnieniem.
— Ach! grzeszyłem we śnie.
— Cóż takiego?
— Czarowna ot rozstrzepanica
Bałamuciła ze mną.
— Czy zbudziłam wcześnie?
— Już pierzchło: widzę Ciebie!
— Piękne rzeczy słyszę —
Więc za karę opiszesz to wierszem —
— Opiszę.

SĄD MATEK.

Od cesarza Francuzów przyszły słowa zdradne:
«Lecę jak zamach miecza, śmierć niosę gdzie padnę,
A w mej żelaznej dłoni trzymam wieńce darów;
Spieszcie się syny Polski do moich sztandarów,
Bo ja spieszę!
Jeźli wielką ofiarą spłoniecie od razu
Hojnie pobłogosławię waszemu żelazu;
Jeźli stanie żołnierzy trzydzieści tysięcy,
Choć trzydzieści tysięcy, jeżeli nie więcej,
Kraj wam wskrzeszę!»
Ojczyzna! za ojczyznę! — rośnie krzyk po kraju,
Rwą się dzieci do broni po ojców zwyczaju,
Po drogach tętnią konie, huczy śpiew wesoły,
Przy drogach siedzą matki, stroskane anioły,
I tak płaczą:
«Ach, trzydzieści tysięcy — na pastwę armatom!
Ach, trzydzieści tysięcy — próżni naszym chatom!
Ach, trzydzieści tysięcy przekleństw w ich omroczy!
Najmłodsi i ostatni! już was nasze oczy
Nie obaczą.

Ślepi, głusi wołają o tobie: tyś wielki!
Ale my się radziły Panny Zbawicielki,
Matki o jasnem oku; wołamy: tyś krwawy!
W burzy, co światem miota, prócz dumy i sławy
Czego szukasz?
Rozrzutnie postępujesz sobie z krwią ofiarną,
A ludom, co z ufnością do ciebie się garną,
Widmo przyszłej wolności rzucasz na zadatek;
Cały świat oszukujesz — ale ty serc matek
Nie oszukasz!
Mijają nas, nie słyszą — bądźcie, bądźcie zdrowi —
Pozdrówcie starszych braci pod Trebią, pod Novi,
W San-Domingo!...»

W PARYŻU.

Raz mnie burza młodości zaniosła daleko —
Aż do onego miasta kędy po nad rzeką
Na zapłakanych wierzbach polskie harfy wiszą;
A w ich cieniu harfiarze siedzą i kołyszą
Głowy w dłoniach wyschniętych. Kiedy zmrok zapadnie
Schodzą się pod zielone szałasy gromadnie
Współwygnańcy, ich bracia młodsi choć rówieśni,
I wołają: «ach pieśni nam dajcie, ach pieśni!
Wstańcie wieszcze! i palce rozpuśćcie po lutni,
Źle nam bardzo, strudzeni jesteśmy i smutni,
Słowa wasze choć losów naszych nie przełamią,
Wzdy niech nam prorokują zbawienie — niech kłamią!
Niech głoszą, że ojczyznę niebawem ujrzemy,
Ciesząc się, wybierając się w drogę — pomrzemy!»
Oni nie dali temu odpowiedzi słowu
Podnieśli tylko oczy łez pełne — i znowu
Każdy z nich zakamieniał ku wodzie nachylon...
Nad nimi wre i huczy szalony Babilon.

DO MŁODEGO POETY

ADAMA P.

Młody mój druhu, polski lutnisto,
Witam cię sercem całem,
Pieśnią swą wodzisz wzniośle a czysto,
Zē łzami a z zapałem.

I jesteś jako niwy podolskie
Nadzieja dzieci, wdów - matek:
Tak pełny w ziarno jak żyto polskie,
A skromny jak bławatek.

Prawie rówieśny, gdy jednak noszę
Skroń doświadczeniem blade,
Pozwól, że w twoje wieszcze rozkosze
Poważne rady kładę.

W proroczym ogniu utoń na zawsze,
Wszystkiego szukaj w swym duchu,
A bądź ze stali na chwile krwawsze,
Złoty, na jasne — mój druhu!

W życiu i w pieśni nie błądź po światach,
Hamuj się w górnym locie:
Najtrwalsza piękność w pól drobnych kwiatach,
Największa wielkość — w prostocie!

Bo na tym świecie wszystko się miecie,
W dolinę klęśnie góra,
Tylko trwa stale to boskie dziecie,
Wieczna, niezmienna: Natura!

Kto ją ukocha, temu rozpowie
Swe cuda z uczuciem szczerem,
A powiernika tego świat zowie
Szekspirem lub Homerem.

A po te cuda sięgaj głęboko,
Powagę z miłością ożeń,
Niech się twe myśli jak chmiel nie wloką,
Niech jak dąb puszczają korzeń.

Kuglarskie wieszczby których gmin słucha
Rodzi lot ptaka, obłoków —
Z pieczar to ziemi i z pieczar ducha
Szły głosy boskich proroków.

Żegnaj więc druhu, żegnaj na schodach
Kędy zstępują cyklopy —
Tam po krużgankach w twoich pochodach
Napotkasz ślady mej stopy.

Tam cię ogarną dreszcze przestrachów
I bole rodzicielki,
Ale jak Dante wyjdziesz z tych gmachów
Ponury, blady — i wielki!

A po tych trwogach i po tym bolu;
Gdy wyjdziesz z duszą młodą,
Szybko cię słońce na polskiem polu
Złotą rozjaśni pogodą.

I jak ja wtenczas siądź sobie skromnie
Pod lipą czarnoleską,
A będzie tobie jak jest wkoło mnie
Jasno, spokojnie, niebiesko.

I z kosarzami idź w łąkę na tło,
Idź do chat śniegiem zawianych,
I młodszych braci wywodź na światło
Wzgardzonych i zapomnianych!

Nigdy nie pragnij sławy od świata,
Świat ten zawistny i płochy;
Ona cię sama jak Cyncynata
U prostej znajdzie sochy.

DO MOICH PRZYJACIÓŁ.

(Odpowiedź na wiersz J. C. Z.).

Wielu was nie mam! choć pamięć zliczy
I śpiące w mogiłach kości;
Wielu was nie mam! — Kiedyż nas wiele?
Rycerzy ducha, o! przyjaciele,
Tryumfatory a bez zdobyczy —
My zawsze będziem w mniejszości!

Śród szmeru dziejów, ileż jest głosów
Gromowych, ognistych, lotnych?
I nas nie wiele — bośmy i lepsi!
I nas nie wiele — bośmy i krzepsi!
Na korczowisku cały łan kłosów,
A dębów kilka — samotnych!

Sporni, słoneczni ho! z nas orłowie,
Urąga nam świat ślimaczy,
Od Nazaretu dawniej nas zwano,
Dzisiaj wy wiecie jakie nam miano,
A gdy tem mianem świat się nazowie,
My się nazowiem — inaczej!

My śpiącym wiecznie bijem na trwogę
Bezsenni z Tytanów rodu,
I wiecznie walczym w zbłąkaniu męztwa,
Bo dla nas żywych niema zwycięztwa,
Ciałami tylko tyczymy drogę
Do Jerozolimy grodu.

I wiecznie dążym krwawym pochodem
Do Jerozolimy grodu!
Ruszać się nie chce ten świat leniwy,
Bo on w spoczynku tylko szczęśliwy —
Więc sarka na nas. My idźmy przodem
Z narodem lub bez narodu!

Z płomiennem sercem, z gwiazdą na czole
I z wiarą która się ziści,
Przodem a śmiało! choć serce pęka,
Choć nas niejedna wstrzymuje ręka,
A tam pod nami niech głuchną w dole
Swary, potwarze, zawiści.

*

Takiem ja słowem na twój głos budzący
Mój odzew daję — bom czujny, nie śpiący,
Chociaż nie brzęczę brzeszczotem.
Choć niewidomie ciągle z wami idę,
Wyżej chmur ziemnych niosę moją dzidę
Z błyszczącym od słońca grotem.

— 1856 —

DO LAMARTINA.

Widziałem cię! wtedy niosły cię głów ludzkich fale,
Ty spokojny, uśmiechnięty w natchnieniu i chwale,
Ku tobie szły głosy, oczy, ręce twego ludu —
On jak ołtarz rozścielony, ty nad nim — mąż cudu!

Tak płynąłeś przez ulice na żywym rydwanie,
Wciąż witany grzmotem głosów: Wieszczu nasz! Kapłanie!
A w tej chwili gdy poetę wynosił i chwalił,
Lud przeliczał trupy bratnie — w środku tron się palił!

Na przemiany rozszlochany, to znowu płomienny,
W twym pochodzie tryumfalnym szedłem niby senny,
A łza moja, a krew moja tobie błogosławi,
A duch głośny krzyczy we mnie: On nas — on nas zbawi!

I lud pyta: gdzie go ponieść, wodza Tyrteusza?
«Tam na gniazdo naszych swobód, tam gdzie nasza dusza:
Do ratusza! do ratusza! — A gniazdo bezwstydów
Dom królewski, niechaj idzie na dom inwalidów!»

I wnieśli cię na Kapitol, świata przewodniki,
I zrobili cię przewodźcą wielkiej republiki,
I oblekli cię synowskiej miłości szkarłatem
I krzyknęli: Ztąd rządź nami — a przez nas, rządź światem!

A potem krzyż z domu króla obłudnego wzięty,
Krzyż na którym wisiał Chrystus biały i rozpięty,
Obnosili między tłumem, co uchylał czoła,
I z milczącą pobożnością wnieśli do kościoła.

I modlili się: My Twoi! błogosław nam Chryste —
Patrz na ręce nasze czyste, na zamiary czyste,
Niech Cię obraz nie przestrasza dawny, senny, dziki,
Boś Ty Panem teraźniejszej naszej Republiki!

O narodzie Heraklidów, o dzieci półboga!
Gdy was widzi poruszonych, Boga zbiera trwoga!
Co was pędzi? — Oni pragną, o czem inni nie śnią,
By ich dzieje były jedną bohaterską pieśnią.

Ty śpiewaku Żyrondystów, ty wiedziałeś o tem
Gdy śród nocy uciszonej a samotny potem,
W ukorzeniu, w którem z duszy ustępuje mraka,
Rzekłeś: «Boże! wiem dla czego wybrałeś śpiewaka!

Wiem że boża Republika to jak wielostrunna
Harfa, która zawsze dźwięczna, choć czasem piorunna,
Że jej struny jednym strojem grać winne pospołu —
Czy te krótkie, czy te długie — czy z góry, czy z dołu.

I wiem także, że wystarcza, aby harfę oną
Oprzeć tylko o pierś ludzką czystą i natchnioną,
To już po niej sam duch boży na akordy wieje
A wyśpiewa ona światu miłość i nadzieję.»

Tak mówiłeś — ale mylnie mówiłeś w tym względzie,
Że wódz ludu, to oparcie na śpiewne narzędzie;
Bóg natchnienie tylko daje — na harfie nie brzęka —
A z natchnienia Słowo idzie, a za słowem — Ręka!

Więc gdy chcący lepiej przejrzeć swych przeznaczeń tonie,
Na olśnione swoje oczy położyłeś dłonie,
I wpatrzyłeś się w te głębie gdzie świat ducha cały:
Przed oczyma twojej duszy dwie postacie wstały.

Jedna miała uśmiechnięte i anielskie lica,
A w jej ręku czysty, jasny miecz jak błyskawica,
Co śród ludzi moc niebieską i powagę szerzy
I przestrasza — choć na tysiąc w jednego uderzy.

Poglądając na anielskie w mieczu bohaterstwo,
Druga postać sine usta skrzywiła w szyderstwo,
A z jej ręki, co się wije jak gadzina wązka,
Wysunęło się jej żądło: oliwna gałązka.

O! są chwile, w których głosy by zgłuszyć zwierzęce
Świętem graniem harfy bożej — słabe ludzkie ręce;
Wtedy mieczem bij po strunach, bij nakształt pioruna —
Mniejsza, jeźli pęknie jakaś zardzewiała struna.

Ach! dla czegóż tym postaciom nie spojrzałeś w twarze —
Byłbyś przyjął znak zwycięztwa, miecz anielski w darze;
Ach! dla czegóż cię uwiodły obłędy pozoru —
Byłby dzisiaj świat szczęśliwszy od Twego wyboru.

Bo ty śpiewne Republiki narzędzie przedziwne,
Ustroiłeś wraz z swą skronią w gałązki oliwne,
Opasałeś je trójbarwną wyszarzałą szarfą
I oparłeś o pierś czystą — i usnąłeś z harfą!

NA GROBIE.

Biały nasz anioł z aureolą złotą
U tronu Marji chwieje się tęsknotą,
Czeka z niebieskiej wychylony bramy —
My tu czèkamy.

O Marjo Panno! tęczo bożej łaski!
Tęskniące dziécie otul w swoje blaski,
A nam niech widok niebiosów zasłania
Chwile czekania.

DO MEGO BRATA ADOLFA.

Niechże cię ręką ze łkaniem okrążę,
Boleśny węzeł znów silniej nas wiąże,
Dwoje ich znikło — a my już jak sami!...
Aniołki nasze módlcie się za nami!

Trumna przy trumnie, tak śpią sobie cicho —
Tu świat nad niemi wre krzykiem i pychą,
One się śmieją niebieskiemi snami....
Aniołki nasze módlcie się za nami!

A gdy im domek rodzinny się przyśni
Chylą usteczka jak wiśnię ku wiśni
Zroszone łezką — tulą się rączkami....
Aniołki nasze módlcie się za nami!

No ciszej, ciszej!... one się kołyszą
Teraz nad nami, gdy płacz nasz posłyszą
To jasne czoła im chmurka poplami....
Aniołki nasze módlcie się za nami!

Wzleciała jedna i w dół rączką kiwa:
«Chodź tu siostrzyczko, ja bardzo szczęśliwa!»
Ach, toż im szczęścia niemieszajmy łzami....
Aniołki nasze módlcie się za nami!

Kłopotne życie a długie o! długie,
My je wysłali, ja jedno, ty drugie,
I święciej teraz pójdziemy cierniami:
Aniołki nasze modlą się za nami!

ZA SŁUŻBĄ.

Przyszło bose, w brudnej koszulince,
I stanęło spokojnie u progu —
Chłopskie dziécie, dziéwczę pięcioletnie,
Złotowłose, w twarzy żółte szpetnie,
Oczka żywe, choć pół-płaczu w mince;
Wnet je ujrzał anioł mego domu.
— Co chcesz dziécie moje?
— Sława Bogu!
— Na wiek wieków — co chcesz dziécie moje?
— Ta, za służbą... o pies! ja się boję!....
— Pies ten złego nierobi nikomu —
Chodź tu bliżej, bliżej — a czyja ty?
— Ta niczyja —
— A gdzież matka?
— Zmarła maty.
— A twój ojciec?
— Ojciec w karczmie siedzi.
— Cóż ty robisz?
— Żywią mnie sąsiedzi.
Czasem dadzą a czasem niedadzą;
W zimie często do piérza posadzą,

Teraz nie....Pan Bóg mnie hoduje
Jagodami...ot! człowiek biéduje....
— Jaki człowiek?
— Ta ja, pani miła —
Źle na wierzchu ziemi być sierotą —
Ciężkie życie — lepiej gdzie mogiła,
Tam gdzie matka...
— O, moje ty złoto!
Takie małe! tak mówi rozumnie —
To ty dziécie, ty chcesz służyć u mnie?
Cóż ty umiesz?
— Ta, chatę zamiatać,
Wodę przynieść...
— Figle umiesz płatać?
(Ono myśli długo) — Także umiem,
A i gęsi ludzkie paść rozumiem...
— Czy ty głodna?
— O! o! bardzo głodna...

*

O ty ziemio polska! ty zawodna!
O ty ziemio polska! tak bogata,
Że wyżywić mogłabyś pół świata,
A dla własnych dzieci niemasz chleba!...
Bujne twoje łąki, żyzne niwy,
Zawsze pełne rosy twoje nieba,
A podobnaś do popiołów urny,
I twój naród chodzi smutny, chmurny,
Często grzeszny ach! bo nieszczęśliwy.

O ty ziemio polska! ty zawodna!
Taka strojna licem i swobodna —
Grzybne twoje lasy, wody hojne,

Kwietne twoje sady, pszczoły rojne,
A dla większej części swego rodu
O! nie owoców już, ani miodu,
Ale niemasz nawet chleba, chleba!...

Oto dziecko ledwie nie z kołyski,
Smutne patrzy na twoje połyski,
Już dojrzało, już nieszczęściem stare,
Rozwinęła już jemu potrzeba
Myśl i serce — i już traci wiarę;
Ledwie mówić umié, już się skarzy,
I o grobie niby starzec marzy....
O ty ziemio! ty macocho gminu!....

Gdzie me dzieci? chodź tu, chodź mój synu!
I ty drobny w pieluszkach — tu chodźcie!
Usta wasze uśmiechem osłodźcie,
Powitajcie tę siostrzyczkę waszą,
Ta, co zmarła, równie była małą!
Niech was plamy w koszulce nie straszą,
Bo jak wasze białem jest jej ciało;
No, rączkami twarz jej pogłaskajcie,
Ale najprzód jeść, o! jeść jej dajcie!!

DO N. B.

Nieznani, zdaleka pozdrówmy się mile
W dwa akordy pieśni,
Obydwa na wielkiej stoimy mogile,
Braciaśmy boleśni!
Swiat nam wlewał w dusze różne zdroje hojne,
Dziś już pełna waza,
I leją się teraz nam pieśni spokojne
Z łez, z ognia, z żelaza!

CZY WY MNIE ZNACIE?

Wy mnie czytacie, wy mnie chwalicie,
A tak wam ciemne poety życie,
Wam się wydaje, że on w obłoku
Ptak, co ludzkiemu gdzieś znika oku;
A jego ziemia tak jak was więzi,
Jemu najmilej na tej gałęzi,
Gdzie jego gniazdo wisi włosienne,
Gdzie jego radość i troski dzienne.

On jeźli światu goruje w locie
To on samotny, to on w tęsknocie;
Jakże on chętnie wtedy się zniża
Do kościelnego w swej wiosce krzyża.
On nieraz skrzydła bujne opuszcza
Dla zielonego na łące kuszcza,
A cóż dopiero, jakże on leci
Do swojej ptaszki, do swoich dzieci.

Odkąd ja dolne pokochał niwy,
Odtąd ja lepszy, odtąd szczęśliwy;
Odkąd ja górne porzucił jazdy,
Już mi na ziemi palą się gwiazdy,

Ojców mych dzieje jak mleczna wstęga;
Stojąc, skroń moja do Boga sięga;
Wszystko się w moim gromadzi słuchu,
Wszystko ztąd widzę — pokorny w duchu.

Czasem się w loty dusza wyprosi,
Wtedy ją ciemna burza unosi;
Na oceanu zdradliwej wodzie
Walczę z falami — ho, na swobodzie!
A niżej lśni się strumień mej wioski
I dzwonią od niej mych dzieci głoski....
Kończy się walka i burze cichną,
Kiedy się dzieci do mnie uśmiéchną.

W CISZY.

Słońce się zniża — niebo pogodne
I zwierciadlane jak szyby wodne,
A wieczór jak sen spokojny.
Dobry On w górze, dobry i hojny,
On bez nazwania — co ten świat niski
Stroi jak dziecko własne
W srebrne obsłony, w smaragdów błyski,
A rankiem w kwiaty jasne.

Do koła wzgórza zieleniejące
A w dole łąka — na gładkiej łące
Ciemniejsze łóz arabeski.
A wszędzie taki spokój niebieski!
Że mi się zdaje, że tu jest Eden,
Że w miejscu wczoraj stworzonem
Pierwszy żyjący stoję sam jeden
Pod szklannym niebios dzwonem.

Sam? sam? sam tylko! — Dusza się zlękła
Tego sieroctwa... ot, muszka brzękła!
Ot, ptak poleciał przez liście!

Ot, ścieżka czeka na czyjeś przyjście!
A tam na polu ludzie bieleją,
    Ot, i dolata ich śpiewka!
A tam po wzgórzu dymy się ścielą,
    Ot, chata! ot, cerkiewka!

Pełno nas, pełno na bożym świecie!
Jest z kim podzielić się szczęściem przecie —
    Ile każdemu potrzeba
Znajdzie się zdroju, cieni i chleba;
Jednego Ojca jedne my dzieci
    Od muszki aż do człowieka,
I równo słońce dla wszystkich świeci
    I równa nam opieka!

Piękna ta ziemia i żyć w niej pięknie!
Aż łza się kręci, aż dusza mięknie
    Pełna miłości i zgody;
I świat ten pewnie tak jak ja młody,
I miłujący jak ja i zgodny,
    I czuje rozkoszy dreszcze,
W czyste natchnienia na zawsze płodny
    Jak moje serce wieszcze!

KIEDYŚ — KONAJĄC.

O! raz ostatni patrzę na tę ziemię,
Kędy od wieków chodzi moje plemię
We krwi a słońcu. Oczy we łzach mokną —
Szkoda mi Polski! — odsłońcie to okno —
Niech na nią patrzę, choć ją pożegnałem —
O! raz ostatni tę ziemię widziałem!

Ranek pogodny — z doliny mgły wstają
Kościelne dzwony nowy dzień witają —
Chórami ptactwa tam dzwoni dąbrowa...
Ojczyzno moja, bądź zdrowa!

Dla żyć mających przeszła już noc krótka,
Tam po obozach brzmi ranna pobudka...
Z pługami ciągną wieśniacy na niwy...
Narodzie mój, bądź szczęśliwy!

PRZEPIÓRECZKI.

Niech będzie co będzie,
A pióra niewstrzymam w serdecznym rozpędzie!
Pochwalić ja muszę dwie białe dziéweczki,
Jak duch mój samotne,
Jak moja myśl lotne:
W Perepelnikach to dwie przepióreczki.

Głos słodki przy głosie
A w niebo aż dzwoni — choć nisko, choć w prosie,
I leci na pola, na lasy, na rzeczki —
A gdzie je posłyszą,
Szanują je ciszą,
W Perepelnikach te dwie przepióreczki.

Przy żniwie a w pracy
Bieleją w swych płótnach cierpliwi wieśniacy,
Na bożem to polu pokorne owieczki;
Weselsi gdy z rosą
Pociechę im niosą
W Perepelnikach te dwie przepióreczki.

A tam przez manowce
Po grudzie a w trudzie tłumią się wędrowce,
O ścieżki bezcelne wnet rwą się do sprzeczki;
W tem głosy gdzieś dzwonią,
Dłoń wiąże się z dłonią:
W Perepelnikach to dwie przepióreczki.

I z całych okolic
Pytają: zkąd głosy? — To głosy jasnolic,
To głosy pieszczone moich kuzyneczek.
O moja ty Polsko!
Tyś harfą eolską,
Dopokąd masz gniazda takich przepióreczek.

— 1857 —

DLA SYNÓW ŚWIATŁOŚCI.

Synu światłości! ty sam wiesz jak często
Twa dusza chmurą okrywa się gęstą.
O synu lotu! ty sam sobie świadkiem,
Gdy cierpisz grzesznym zniżony upadkiem.
Napróżno w tobie rzutna duma rwie się,
Bezskrzydlna, ona nie unosi ducha;
Co cię rozjaśni, co ciebie podniesie?
Skrucha!

Módl się! i uderz o ziemię kolanem,
Boś głupi, nizki, ułomny przed Panem;
Obmyj się łzami gdyś zwalany błotem,
Zatęsknij z ducha za światłem i lotem,
A wtedy spłynie wnet na ciebie łaska,
Wnet cię otoczą niebieskie promienie
A czoło twoje ozdobi przepaska:
Natchnienie!

I staniesz silny przed swoim narodem,
Choć tobą wzgardzą, powiedziesz go przodem!
Nic nie odbije twojego oręża,
Moc słowa twego gnie, łamie, zwycięża!
Więc ty olbrzymie zginaj się przed Panem
Abyś nie upadł jak upadłeś wczora —
Wiedz, że nas trzyma na wzgórzu świetlanem:
Pokora!

ORŁY I SŁOWIKI.

Dawniej o dawniej, tyle orłów było!
Czy to nad zamkiem, czy to nad mogiłą
Zawsze hetmański ten ptak się unosił
Lotny, krzyczący — ho! bo chwałę głosił.
Dziś ich napróżno szukać na błękicie —
I ja, co wiodę roztęsknione życie
I patrzę w niebo — raz orła widziałem —
A leciał cichy i skrzydłem nieśmiałem.

Lecz zato, ile razy nad wieczorem
Wyjdę samotny ścieżką po nad borem,
Mnóstwo słowików słyszę. Takie mnóstwo,
Czy to bogactwo nasze, czy ubóstwo?
I pytam: Czy płaczący chór słowiczy
Już moją ziemię na zawsze dziedziczy?
Wiecznież o mroku ta pieśń kwilijąca?
Jabym chciał orłów słyszeć — przy wschodzie słońca!

I duch narodu miał orłowe krzyki —
A teraz co? Poszedł na słowiki.
Śpiewają piewcy z miłością, z nadzieją,
Dla czuwających przez całą noc pieją,

Tylko sarkają senni na te ptaki
I tylko szydzą z nich nocne hulaki;
Lecz gdy się brzaski jutrzenne oznaczą
Słowiki ścichną — a orły zakraczą!

O bracia orły! o bracia rówieśni!
Wstańcie! bo koniec już słowiczej pieśni!
Rozwińcie skrzydła — do lotu, do lotu!
Ja wam zaśpiewam pieśni chwały i grzmotu!
Krzep się mój duchu, nie leń się, nie wczasuj,
Krzycz mi jak trąba i jak dzwon hałasuj!!

PROLOG.

WYGŁOSZONY PRZY NOWEM OTWARCIU SCENY POLSKIEJ WE LWOWIE W R. 1857.

(Scena przedstawia świątynię, w której dwa nagrobki; na jednym napis: Wojciech Bogusławski, na drugim: Jan Nep. Kamiński. Z głębi, szeroką bramą wchodzi chór w kostiumach teatralnych; ten dzieli się na dwie części i staje po obu stronach sceny z przewodnikami na czele — potem wchodzi:)

KAPŁANKA.

Witam was, witam — serce moje rośnie
Jak kwiat ku wiośnie.
Pójdziemy znowu dawnym naszym torem
Kochani i kochający!
Z zapałem będziem dźwigać brzemię trudu,
Choć nieraz serce cierpi pod bisiorem...
A Ty Wszechmogący!
Spraw by ta scena stała się dla ludu
Szkołą i wzorem.

Niechże ta scena wciąż świętością stoi,
Kiedy się zowie świątynią;
Niechaj tu Czysty wchodzić się nie boi,
Niechaj nas matki nie winią;
Niechaj tu żaden z niewinnych młodzieńców
Nie kryje w dłoni rumieńców;

Niechaj dziewice usta swoje milą
 A nigdy oczek nie chylą.
A ci, co słabi, niech wychodzą krzepsi,
A ci, co grzeszni, niech wychodzą lepsi.

Wy, którym tutaj przebiegło życie
I w dobrej cześci z dawna nosicie
 Kapłańską odzież,
Myślcie i o tem, że przyjdą wnuki,
A wy pomrzecie; przy was dla Sztuki
 Niech rośnie młodzież.
Chętnie podnoście ją radą i pracą,
 Niechaj się przy was bogacą;
Niech ich nie dzielą drobne niesnaski,
Niech od was przyjmą złote przepaski
 Czyści, natchnieni, szlachetni;
Bo kiedy po was uderzą w dzwony,
By nie powiedział lud rozżalony:
 Oto pomarli — bezdzietni!

(wskazując na nagrobki)

Oto imiona dwóch wodzów, dwóch mężów,
 Dwóch bohaterów, choć bez orężów,
 Jedno i drugie jak pała
 Blaskiem nieśmiertelnym!
Całe ich życie szło walką i męztwem —
A jak skończyli? — Zwycięztwem!
 Bo niedołężny tylko upada,
 Niedołężnemu tylko tu biada,
 A wieczny tryumf i chwała
 Wytrwałym i dzielnym!

Ci wasi mistrze, te wasze przodki,
Nie większe od was dzierżyli środki,
 A zwyciężyli, a zwyciężyli —
 Bo wiarą żyli!

Każdą zaporę,
Każdą przekorę
Wiara roztrzaska!
W wierze potęga
Gdy siły sprzęga,
Dla wiary — łaska!
Sojuszem bratnim w dłonie uderzcie
I wierzcie!

(Do chóru.)

A wy nowo zaciężni pod nasze sztandary
Natchnienia i wiary,
Nie myślcie, że ta scena ma gładkie posadzki
Do wesołej schadzki —
To dom ofiary!

Bo słowa wieszczów
Jak łzy padają,
Z duchowych dreszczów
Powstają.
Wieszcz co je wyda, rodzi je w boleści,
On cierpiąc — wieści;
Jednak szczęśliwszy, bo gdy pieśń dojrzewa
To ten ból — co śpiewa,
Swobodnie spłacze;
Ale wy biedni jego słów siewacze,
Wy je nieraz powtórzycie
Śmiejąc się i skacząc,
Choć w sercu płacząc
Gorzko i skrycie.

Takiego słowa kto chce zostać posłem,
Mieć musi potęgę w duszy,
Co się nie złamie, nie skruszy.

Takiego słowa kto chce zostać posłem,
Musi się zaprzeć siebie —
W piekle żyć nieraz i w niebie!
Takiego słowa kto chce zostać posłem,
Niechaj o zysku nie marzy —
Bóg wynagradza, świat — darzy.
Kapłaństwo nie jest rzemiosłem!

Może was wabi świetny strój,
Sceniczny żart i śmiéch,
Poklask, co idzie z nim?
Na stroju waszym — szych!
We śmiechu nieraz — grzéch!
A pokłask taki — dym!

Na bój pójdziecie, na bój!
Natchniona w duchu, ja mówię z ducha,
Błogosławiony kto słucha —
Na bój pójdziecie, na bój!

Będziecie walczyć z upartym losem
I z nędzą może — choć waszym głosem
Klejnoty będziecie rzucać.
Sami w cierpieniu nieraz upadać,
Choć według woli sercami władać
Weselić i zasmucać.
A w końcu waszej podróży dalekiéj,
Może was czeka — starość bez opieki.

Dawniej Moliera w święconej ziemi
Nie chciano grześć —
Teraz my równi między wybranemi —
Jak bohaterom natchnienia i czynu
Wolno nam liście wawrzynu
Na czole nieść.

Jeźli więc kogo wyniesie Sztuka,
Niechaj już szerszej sławy nie szuka,
    Najtrwalsza, co w narodzie!
U nas ofiara już we zwyczaju —
Toż zaszczyt służyć takiemu kraju,
    Choćby o głodzie!

(do publiczności, stanąwszy na prosceńium)

Cóż do Was powiem? Wam, co czujecie,
Piękne i Dobre — jak nikt na świecie,
    Cokolwiek powiem — Wy wiecie!
W zamgloną przyszłość, co przedemną płynie
    Z wesołem sercem lecę,
Narodowego słowa świątynię
    Waszej oddając opiece.

(Grupa oświetlona. Z za postumentów nagrobkowych podnoszą się duchy z twarzami zakrytemi i wyciągają ręce błogosławiące. Zasłona zwolna spada.)

— 1859 —

KOŁYSANKA.

(do muzyki I. C. Kesslera: Chansonnette de berceau.)

Luli senny mój aniołku,
Luli dziecię moje,
Na twe czółko, o fiołku,
Spuszczam słodką łzę.
Granicami twego świata
Moich ramion dwoje,
Wieńcem czarów cię oplata
Drżące serce me.

Ach tam na świecie
Gdzie bój i gwar,
Tam się rozmiecie
Twój piękny czar;
W sercach się kładą
Tam gad i jeż —
Choć ranny zdradą:
Kochaj i wierz!

Luli senny mój aniołku,
Luli dziecię moje,
Na twe czółko, o fiołku,
Spuszczam słodką łzę.
Cicho, miękko tobie dźwięczy
Pieśń, którą cię koję,
A łagodnym blaskiem tęczy
Płoną oczy me.

Ach tam za ścianą
Ni dnia bez chmur,
Zdrój — poi pjaną,
Drogi — śród gór.
Ty wytrwaj w życiu
O synu mój —
Przy gromów biciu:
Módl się — a stój!

Luli senny mój aniołku
Luli dziecię moje,
Na twe czółko, o fiołku,
Spuszczam słodką łzę.
Niech nie trwożą cię w twym niebie
Matki niepokoje;
Sama spłaszam je od ciebie
Jak komary złe.

W ALBUM Z. R.

Ciebie chcą ściągnąć na ziemię
Nitko z przędzy Matki Boskiéj,
Na tobie chcą wieszać brzemię:
Walk powszednich marne troski.

Ty wiej się dalej błękitem
Po nad nasze smętne wody,
Po nad biednych ludzi żytem —
Zwiastunko długiej pogody!

Ty wiej się dalej nad nami,
Biała, lśniąca, w ciągłym locie —
Czasem się uwieś myślami
Na moim samotnym płocie.

Nazwą ciebie pajęczyną,
Lecz ja człowiek z prostej wioski
Wiem, że jesteś nad krainą
Śliczną przędzą Matki Boskiéj!

— 1860 —

MARSZ POLSKI.

1.

W górę serca i czoła! noc się czarna rozsłania,
Z bożej dłoni, co wskrzesza, idą blaski zarania,
I ta Święta, o którą moc szatańska się starła,
Drgnęła w grobie i mówi: Spałam tylko, nie zmarła!
Razem, razem, odrzućmy grobnych głazów ostatki —
Precz! precz! — Ach, widne już oblicze tej Matki!

2.

Wstaje ze snu strasznego a chwiejąca i blada,
Niby spojrzeć się boi — a uśmiecha się rada;
Jakże wiele jej obce! i nie wszystko poznaje —
Te dwa morza to twoje i te grody i kraje!
Prędzej, prędzej, niech biedna o swych dzieciach się dowie —
Krwi! krwi! z żył wszystkich na jej szczęście i zdrowie!

3.

Wiele było goryczy między braćmi rodnemi,
Spór my wiedli o ziemię, spadkobiercy bez ziemi;

Najprzód ziemię odzyszczem, potem stanie zagroda,
A w zagrodzie swoboda — gdzie swoboda, tam zgoda!
Ramię w ramię ty Lachu, ty Rusinie serdeczny —
W bój! w bój! a błyskaj jak miecz jeden dwusieczny!

4.

To na stany, na wiary nas bezładnił ład stary:
Kto dziś w Polskę nie wierzy, ten bez stanu i wiary!
Nas niewola zrównała a nadzieją my spolni,
Nazywano nas różnie — my nazwiemy się: wolni!
Ramię w ramię herbowni, izraelscy, siermiężni —
W bój! w bój! my jedni, jeźli wszyscy orężni!

5.

Z potępionych przez naród dziś niejeden rozpacza —
W górę serca i czoła! Polska wszystkim przebacza!
Do nas bracia zbłąkani, do naszego tu łona,
Na czas smutku i grzechów niech zapada zasłona!
Przodem, przodem, na sławę rwij się dziatwo niesławy —
W bój! w bój! tam zmyje plamy wasze chrzest krwawy!

6.

W polskiej Wierze kto wytrwa, ten zwyciężył i dopiął;
Co nam stanie zawadą — w gruz niech idzie i popiół!
Miłość naszym orężem, lecz gdzie zdrada lub opór,
Tam nam miłość w jad przejdzie — oręż zmieni się w topór!
W pochód, w pochód, a wszystko co dziś stanie przed nami —
W proch! w proch! się zetrze pod miljonów nogami!

7.

O ty Polsko, o nasza! przez pokutę natchniona,
My na tarczach cię wzniesiem krzycząc światu: To Ona!



